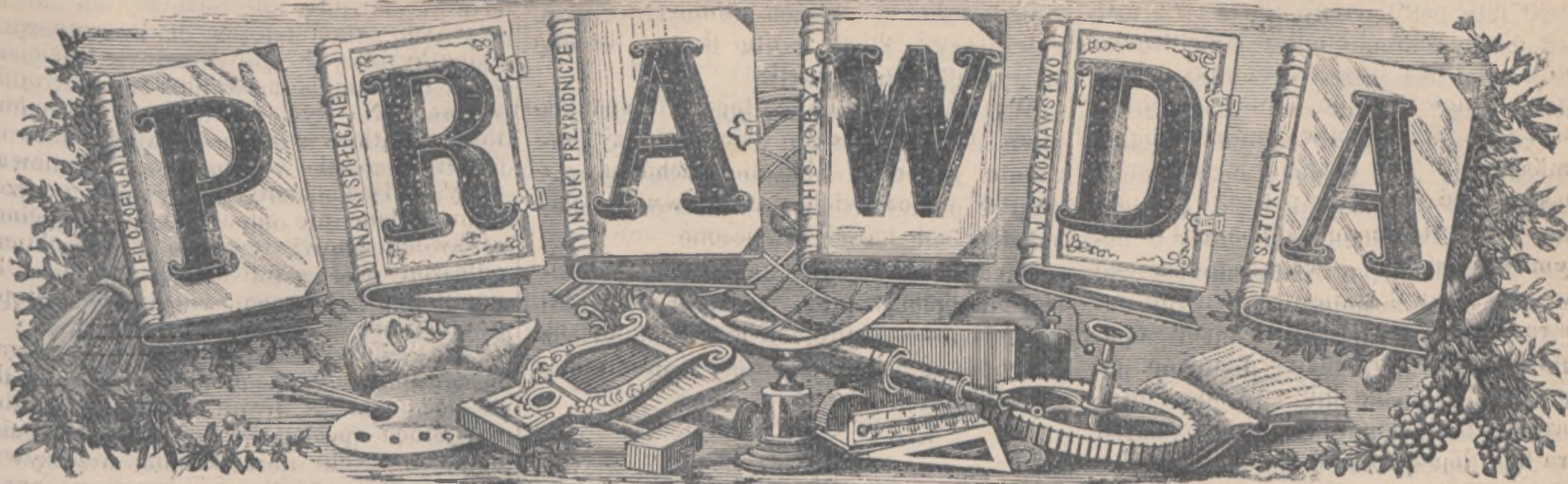
№ 5. Warszawa, dnia 31 (19) Stycznia 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Prosimy autorów rękopisów nieprzyjętych a z zastrzeżeniem zwrotu nadesłanych, ażeby je zechcieli odebrać w ciągu trzech miesięcy, gdyż po tym terminie zostaną zniszczone.

Polecamy uwadze czytelników naszych ogłoszenie Spółki Nakładowej na ostatniej stronicy dzisiejszego numeru.

„AUSROTTEN!"

Spinoza w swej *Etyce* powiedział, że „coś jest dla nas pożądanem nie dlatego, że jest dobrem, ale jest dobrem dlatego, że pożądane." Zdanie to, które w systemie wielkiego myśliciela zachowało swą moralną godność, było nieraz wyrywane i nadużywane do okrywania niecnoty przez rozmaitych kuglarzów filozofii, a między innymi przez najgłośniejszego jej matacza p. E. v. Hartmanna, który kiedyś durzył świat swoją *Filozofią nieświadomości*. Zacny ten mędrzec, rozprzedawszy kilka wydań owej książki, spostrzegł jeszcze korzystniejszy dla siebie „Geschäft" w hałaśliwem rozwiązywaniu bieżących zagadnień polityczno-społecznych i — po obrobieniu żydów — zwykłą koleją „filozofów" posłusznych „kategorycznym imperativom" z Warcina, zszedł na ten poziom, na którym lada chłystek może udawać Katona i powtarzać za nim: „sądzę, że Kartaginę zniszczyć należy."

W piśmie *Gegenwart* zamieścił on artykuł, w którym rozebrał egoizm pruski do naga, a nawet, dla usunięcia wszelkiej wstydliwości, ściągnął z niego skórę. Naród niemiecki — według niego — dąży ustawicznie do coraz większej doskonałości i kultury a w tem dążeniu zapomina o swoim charakterze dziejowym i pośród obcych ludów wynaradawia się. Proces ten widzimy we Francyi, Anglii, Ameryce itd. „Inne narody są zawsze zaczepne, bojownicze, niemcy zawsze(!) ustępują krok za krokiem dla wygody, z lenistwa, zamiłowania pokoju i obojętności, którą usprawiedliwiają oderwanym idealizmem sprawiedliwości i humanizmu" (tak!). Brak im bowiem poczucia narodowego, a skutkiem tego wsiąkają łatwo (!) w odmienne otoczenie. Z wyjątkiem Tyrolu i kilku ludniejszych ognisk nad brzegami Dunaju i Mołdawy, wszędzie po za granicami państwa niemieckość ginie. O ratunku jej w prowincyach nadbałtyckich nie można myśleć. „Gdyby nawet owe prowincye darowano państwu niemieckiemu, musiałoby ono odrzucić ten dar Danaów; przy obecnych bowiem stosunkach liczebnych możnaby panowanie niemieckie przedłużyć tam o kilka pokoleń, ale nigdy utrwalić... Daleko łatwiej byłoby zgermanizować lewy brzeg Wisły z jego 5 procentami niemców i 5 procentami po niemiecku mówiących żydów... ale i ten nabytek stałby się raczej klątwą, niż błogosławieństwem, dopóki germanizacya od wieku do Prus przyłączonych części Polski nieukończona." W Węgrzech niemcy uledz muszą naprzód madziarom, a później wraz z nimi słowianom. Federacya słowiańska na południu pod skrzydłami Austryi, stawiająca tamy panslawizmowi, leży też w interesie Niemiec.

Rozejrzawszy się tedy po Europie, dochodzi p. Hartmann do następującego wniosku: „Musimy zgermanizować zakres państwa niemieckiego, musimy przynajmniej u siebie w domu utrwalić panowanie niemieckości... Jeżeli słowianie tępią (!) ją w swych granicach, powinniśmy również użyć represalij, tj. wszelką słowiańskość w naszych granicach wytępić (*ausrotten*)... Bracia niemieccy za granicą nie mogą od nas żądać, ażebyśmy, dla ratowania ich, rzucali się w wojny i trudne do utrzymania zdobycze, ale mają prawo oczekiwać, że zamordowana w nich niemieckość, o ile to od nas zależy, gdzieindziej zmartwychwstaje odmłodzona, dopóki w państwie naszem jest jeden kawałek ziemi, który nie służy za grunt kultury niemieckiej. Wymagają tego nietylko uczucie narodowe i *względy słuszności*, lecz w wyższym jeszcze stopniu interesy polityki zagranicznej."

Jakże p. Hartmann radzi spełnić to wielkie, szlachetne dzieło „tępienia," jak ma się odbyć to „zmartwychwstanie zamordowanej niemieckości," nakazane przez „słuszność?" „Żadna ofiara pieniężna, chociażby ona dosięgła miliardów, nie powinna być dla nas za wielką... ...*Niedosyć* wszystkie polskie dobra ziemskie *wywłaszczyć* i zamienić na niemieckie wsie chłopskie; należy także na dobra niemieckie zwrócić potok emigracyjny niemieckich kolonistów przez odpowiednie nagrody i zrobić dla nich miejsce przez premiowane wychodźtwo chłopów polskich do naszych kolonij." W dodatku do tego „premiowanego" patryotyzmu autor radzi zgnieść kościół katolicki a jego wyznawców nie dopuszczać na żadne posady rządowe. Słowem... *ausrotten*!

Za wiele doświadczyliśmy, za wiele pamiętamy, za wiele słyszymy podobnych „programów," ażeby nas ten potworny, cyniczny, unikający nawet lepszych pozorów bandytyzm mógł dziwić. Przykro nam tylko, że językiem bezwstydu przemówił człowiek, zaliczany w poczet kapłanów filozofii, której świątynia rzadko kalała się apostołowaniem gwałtu. Ale może też p. Hartmann starł z siebie te święcenia. Obecny jego wywód niczem nie przypomina owej pogardy dóbr ziemskich, owej nirwany, którą tak zachwalał... czytelnikom swej *Filozofii nieświadomości*. Wtedy prawił: „Epoka nowa dąży do wielkich państw,

mających swoje naturalne granice w *narodowości*“ (str. 348); wtedy nawet twierdził, że „w obecnym stanie ludów ucywilizowanych kościół jest jeszcze czynnikiem najwyższej wagi“ — ten sam kościół, który dziś wydaje mu się „odwiecznym wrogiem niemieckości.“ Ale poglądy się zmieniają zwłaszcza pod wpływem polityki „premiowanej.“ P. Hartmann zapomniał o dawnym pesymizmie, o wznoszeniu się egoizmu do „praw kosmicznych,“ o „piramidzie republik“ i z całej swej książki zapamiętał tylko, że „prawdziwy filantrop“ postąpi bardziej ludzko, gdy—psu ogon utnie odrazu, niż kawałkami. O tej jego książce, która była lepszą, niż obecna polityka, powiedział Dühring: „Pomimo najzuchwalszego użycia wszystkich środków reklamy, niemożliwem byłoby urządzenie na obszerną skalę nowego rodzaju gry szwindlerską mistyką, gdyby zgniła część społeczeństwa nie dawała dostatecznego oparcia moralnie zgniłemu i demoralizującemu przedsięwzięciu... Książka też owego podejrzanego przedsiębiorcy z góry jest przeznaczona do dogadzania zepsutym skłonnościom i pochlebiania w filozofii złym ambicyom osób, które ze swojemi zaległomi resztkami dotychczasowych wiórów filozoficznych znalazły się zachowane i ukoronowane w nowej mieszaninie. Książka ta jest zarazem śmietnikiem (właściwie *Abort*) najsłabszych odpadków niedorzeczności Schopenhauera, podczas gdy trzeźwy zmysł filozofa frankfurckiego nie zostawił w niej ani jednego śladu.“

Tak gruntowny znawca osądził filozofię p. Hartmanna.

Co by należało powiedzieć o jego politycznej moralności? o nadużyciu reguły Spinozy: „wszystko co jest pożądanem, jest dobrem?“ „Wytępić“ — takie bezecne słowo rzuca w życie praktyczne myśliciel, człowiek, który się uważa za mistrza narodu, który upewnia, że stoi po nad mizerną walką rozżartych i samolubnych namiętności. Jakież to straszne zdziczenie zapanowało w czasach dumnych ze swej cywilizacyi, kiedy takie hasła brzmią w tryumfie „słuszności!“

Wytępić!... tylko wytępić! Wspaniała pieśń dziewiętnastego wieku, który starannie zbiera i nabożnie zachowuje pamiątki po człowieku jaskiniowym, a chce zgładzić całe narody oświecone.

Kiedy Sokratesowi doniesiono, że został potępiony przez sędziów, odrzekł: „a oni przez naturę.“ Niech tę odpowiedź przyjmie od nas premiowany i premiujący gwałty filozof.

NOWE PRAWO.

Znany ukaz z d. 22 grudnia 1865 r., wydany dla zaszczepienia i utrwalenia w kraju zachodnim własności rosyjskiej, zabrania osobom polskiego pochodzenia nabywania dóbr ziemskich w 9-iu guberniach: kijowskiej, wołyńskiej, podolskiej, grodzieńskiej, wileńskiej, kowieńskiej, mińskiej, mohylewskiej i witebskiej. Czas trwania tych ograniczeń został w pierwotnem rozporządzeniu określony ściśle, a mianowicie: obowiązywać mają one aż dotąd, dopóki $^2/_3$ przestrzeni nie przejdzie w posiadanie rosyan i dopóki nie będą oni stanowić przynajmniej połowy ogólnej liczby obywateli ziemskich. Ukaz ten wywołał znaczne zmiany w prawie spadkowem, ale pozostawił właścicielom zupełną swobodę rozporządzenia majątkiem, a więc zastawiania go, oddawania w administracyę itp. Oprócz tego wielu osobom pochodzenia polskiego w nagrodę okazanych zasług pozwolono wyjątkowo nabywać majątki. Jak wiadomo, ukaz ten nie osięgnął celu, a własność rosyjska w kraju zachodnim zwiększyła się nieznacznie. W prawie znalazły się luki, furtki, przez które obejście zakazu stało się możliwem. Względnie niska cena ziemi w guberniach zachodnich zachęciła licznych nabywców, zwłaszcza z Królestwa, do nabywania majątków nawet przy tak niesprzyjających warunkach, a jedną z powszechnie używanych form kupna stały się zastawy na lat 36. przyczem suma należna do zwrotu oznaczaną bywała, w porównaniu z dzisiejszą ceną, znacznie, bo podwójnie lub potrójnie wyższa. Na tych warunkach ogromna ilość majątków w ciągu ostatnich lat dwudziestu przeszła w inne ręce. Ponieważ sfery rządzące uznały, że przepisy poprzednio wydane nie odpowiadają w zupełności swemu celowi i wymagają uzupełnień, ogłoszony więc został w d. 20 stycznia r. b. nowy ukaz, którego ważniejsze ustępy przytaczamy za *Prawit. Wiestnikiem.*

„Reskrypty w Bogu obecnie spoczywającego rodzica Naszego, dały podstawę do wzmocnienia w kraju zachodnim liczby rosyjskich posiadaczy ziemskich. Dziś, mając na celu niezachwiane urzeczywistnienie tych przepisów i usunięcie przeszkód do pomyślnego rozwoju i trwałego zaszczepienia posiadłości ziemskiej rosyjskiej w kraju wspomnianym, uznaliśmy za dobre ustanowić osobne przepisy, których projekt roztrząśnięty przez komitet ministrów odpowiada zamiarom Naszym.“

Zabrania się oddawać w zastaw majątki, położone po za obrębem miast i miasteczek, tym osobom, który na mocy poprzedniego ukazu z d. 22 grudnia 1865 nie mają prawa nabywać posiadłości ziemskich w kraju zachodnim.

Przepis ten poniekąd obowiązuje wstecz, bo jakkolwiek akty zastawne, dokonane przez osoby pochodzenia polskiego, zachowują moc swoją do upływu określonego w nich terminu, w każdym razie wszakże nie dłużej nad lat 10 od dnia ogłoszenia obecnych przepisów. Jeżeli w ciągu tego czasu akty zastawne nie będą przedstawione sądom dla odzyskania należnej sumy, tracą moc swoją i uważane być powinny jako zwykłe rewersy. Oddawanie majątków w zastaw upowszechniło się dopiero po 1865 roku; do wszystkich więc prawie posiadanych z tego tytułu stosuje się dziesięcioletni okres trwania umowy. Z powodu prawdopodobnych bardzo powikłań, ten paragraf ukazu bezwątpienia wywoła potrzebę zmian lub wyjaśnień.

Dotychczas spółki i towarzystwa akcyjne posiadały prawo kupowania majątków. Dla niektórych fabryk jest to koniecznem, nabywano zwłaszcza wielkie przestrzenie leśne. Nowe przepisy pozostawiają spół-

---

Z DZIENNIKA OFICERA.

Hr. Irrisson d'Herisson, który brał udział w wyprawie do Chin, właśnie był w Ameryce, gdy wybuchła wojna 1870 r. Na wieść tę pośpieszył do Paryża, udał się do obozu w Chalons, został tam zamianowany oficerem sztabowym i następnie po objęciu gubernatorstwa Paryża przez generała Trochu, zabrany przez niego w charakterze oficera ordynansowego. Hrabia mówił po niemiecku i angielsku i często służył za parlamentarza. Razem z Juliuszem Favre pojechał do Ferrières, a później do Wersalu. Herisson tedy przed kilku dniami wydał pamiętniki swoje (*Journal d'un officier d'ordonanse*), które kreślą żywo mnóstwo nowych i charakterystycznych z owej epoki szczegółów.

Oto niektóre ustępy.

Autor obszernie opowiada historyę ucieczki cesarzowej Eugenii, za którą polecono mu wysłać jej garderobę i pozostałe ruchomości. Dopiero 4 września po południu o godzinie drugiej cesarzowa zdecydowała się na wyjazd, i to ulegając prośbom posłów austryackiego i włoskiego, księcia Meternicha i barona Nigra.

Dwa tygodnie poprzedzające były dla biednej kobiety jednem pasmem męczarni, prawdziwą walką o śmierć lub życie. Nie było godziny bez depeszy, zwiastującej nowe nieszczęście lub stwierdzającej dawne. Wśród łez tych, wśród ciągłej rozpaczy pomiędzy pracą a nocami bezsennemi, dużo ucierpiał zarówno duch jej, jak i ciało. Trzymała się na nogach tylko wskutek picia mocnej kawy, a zasypiała jedynie po zażyciu wielkich dawek chloralu. Ilość tego ostatniego jednak wkońcu doszła do tego stopnia, że cesarzowa miewała formalne napady somnambulizmu, podczas których siedziała z oczami nieruchomo w jeden punkt utkwionemi, nie widziała nic, co się działo w około niej, i nie rozumiała nic, co do niej mówiono.

Prędko się przystroiła trochę, wzięła małą torebkę podróżną, a książę Meternich podał jej ramię. Baron Nigra prowadził lektorkę cesarzowej, panią Lebreton, która nie chciała opuścić swojej pani. Obaj posłowie przeprowadzilili damy przez Louvre na ulicę, wsiedli z niemi do fiakra, a książę Meternich zawołał do woźnicy: „Na bulwar Hausmana!“ W tej chwili przechodził ulicznik jakiś, stanął, uważnie przypatrzył się wsiadającym i krzyknął:

— Cesarzowa!

Ale nikt na to nie zwrócił uwagi. Na bulwarze hausmanowskim uciekający wsiedli do innego fiakra i podążyli do dentysty amerykańskiego Evansa, który znał cesarzowę jeszcze panną i często bywał gościem w Tuileriach. Oświadczył on całkowitą swą gotowość do usług. Eugenia pozostała przez noc w domu dentysty, nazajutrz rano zaś, ponieważ w żaden sposób nie chciała jechać koleją, wyruszyła w powozie. Siedziała w nim oprócz niej i pani Lebreton, doktór Evans i doktór Crane, przyjaciel poprzedniego, również amerykanin. Celem podróży było Deauville, skąd cesarzowa chciała spróbować dostać się do Anglii.

Gdy stanęli u bram Paryża — przez „porte Maillot“ — Evans wychylił się z powozu i spytał ustawionych tam żołnierzy gwardyi narodowej, co słychać nowego. Cesarzowa skryła się po za nim. Kiedy minęli bramę, głośnym wybuchła płaczem. Dojechali do Mantes, gdzie znowu trzeba było zmienić powóz i konie.

Całe towarzystwo usiadło do tak zwanej „berlinki,“ do której zaprzęgniętą była para nędznych szkap. W małej jednej wiosce, La Commanderie, konie dalej ciągnąć nie chciały, pomimo obfitych smagań. Evans wynalazł jakiegoś chłopa, który się ofiarował dostarczyć innych koni.

Dotrzymał słowa — do starej landary zaprzężono dwie inne szkapiny. Właścicielce tych ostatnich tak się podobał cały ten ekwipaż, że aż zawołała:

— Widzi pani, królowa nie mogłaby jechać lepiej!

Dreszcz przebiegł cesarzowę, myślała, że ją poznano. Ale kobiecina przypadkowo tylko uczyniła to porównanie.

kom ten przywilej, ale przestrzeń nabywanej ziemi do 200 dziesięcin tylko.

Paragraf 4-ty ukazu ogranicza wypuszczanie majątków w dzierżawę osobom pochodzenia polskiego, zaś paragraf 5-ty zabrania umieszczać w kontraktach warunków przedłużenia terminu, ogólnie ustanowionego dla dzierżawy nieruchomości i wcielać do kontraktów jakiekolwiek ugody i umowy skierowane ku temu celowi.

Istnieje wszakże w tym razie pewien wyjątek: jeżeli dzierżawca założy w arendowanym majątku fabrykę, wtedy może zawierać kontrakt dzierżawny na lat trzydzieści lub przedłużyć go do tego terminu, z tem wszakże zastrzeżeniem, że w ciągu lat 12 zakład taki powinien być urządzony. Jednocześnie prawie z wydaniem pierwszego ukazu z d. 22 grudnia 1865 r., i w tym samym celu utrwalenia własności rosyjskiej w kraju zachodnim polecono majątki, wystawione na sprzedaż przymusową, skonfiskowane lub też znajdujące się w posiadaniu rządu, oddawać osobom pochodzenia rosyjskiego na dogodnych warunkach spłaty należności. Ale w zamian za przyznane ulgi zobowiązano nowonabywców do niewypuszczania w dzierżawę i oddawania w administracyę kupionych majątków osobom polskiego pochodzenia. Nowonabywcy, przeważnie urzędnicy, sami nie mogli lub nie umieli zajmować się gospodarstwem, w braku zaś dzierżawców lub administratorów rosyan, zmuszeni zostali do powierzenia tych czynności polakom, wbrew prawu i dobrowolnie przyjętym zobowiązaniom. Paragraf 8 nowego ukazu poleca właścicielom nabytych tym sposobem majątków w ciągu roku umorzyć polubownie wszelkie sprzeczne z prawem umowy. W przeciwnym zaś razie, jak również w wypadku, jeżeli właściciel nadal wykraczać będzie przeciw poprzedniej ustawie i obecnie wydanym przepisom, majątek z rozporządzenia generał-gubernatora lub ministra spraw wewnętrznych wzięty będzie w opiekę aż do uregulowania rachunków przez strony, poczem po zwrocie kosztów opieki może być oddany właścicielowi.

Majątki, nabyte według przepisów instrukcyi z d. 4 sierpnia 1865 i sprzedane, zastawione, oddane w zarząd lub dzierżawę osobom pochodzenia polskiego, z mocy 9 paragrafu nowego ukazu i zgodnie z art. 28 wspomnianej instrukcyi ulegają konfiskacie na rzecz skarbu. Dochodzenie tych spraw zależy od ministeryum dóbr państwa.

Przepis powyższy dotyczy tych majątków, które stanowiły poprzednio własność rządu, a po 1865 r. sprzedane zostały osobom pochodzenia rosyjskiego na wyjątkowo dogodnych warunkach.

Wszelkie umowy, dokonane wbrew poprzednim ukazom oraz przepisom niniejszym, uznane są za nieważne i każdej ze stron uczestniczących w dokonaniu takiej tranzakcyi służy prawo rozpoczynania sprawy we właściwym sądzie o unieważnienie aktu umowy.

Jeżeli podobne nieprawne umowy wykryte zostaną przez władze gubernialne, wówczas po zebraniu informacyj potrzebnych, których owym władzom obowiązane są dostarczać wszelkie instytucye rządowe i osoby, gubernator daje pełnomocnictwo urzędnikowi podwładnemu do wytoczenia sprawy w sądzie okręgowym o unieważnienie dokonanego aktu tranzakcyi. Sprawy te roztrząsane być powinny w porządku przepisanym dla spraw zarządu skarbowego.

Wreszcie, jeżeli wymienione powyżej tranzakcye dokonane są drogą notaryalną, to gubernator, niezależnie od wytoczenia sprawy o unieważnienie aktu, donosi miejscowemu sądowi okręgowemu za pośrednictwem prokuratora o przeciwnej prawu czynności rejenta dla pociągnięcia do odpowiedzialności.

Takiem jest dosłowne brzmienie nowego prawa, które komentują już gazety rosyjskie. My powstrzymujemy się od wszelkich uwag.

PRZECIW REWOLUCYI.

Przed kilku dniami wybuchnął znowu w Londynie straszny, w łonie Europy ukryty a niszczący wulkan, którego lawą—dynamit. W Towrze, starym zamku, mieszczącym dziś muzeum historyczne, oraz w gmachu parlamentu nieschwycone dotąd, ale ze swej mściwości znane ręce podłożyły dwie miny. Zniszczenie okazało się straszne: zdruzgotane ławki, okna, podłogi—tylko niewielo osób zranionych. Byłże to akt morderczego spisku? Nie, gdyż parlament nie zasiadał, a w muzeum znajdowała się garstka zwiedzających. Był to więc piekielny figiel, mściwa, a bozmyślna groźba. Jaki miała cel? Wywołać postrach? Wywołała, ale odwet. Fakt ten, łącznie z zabiciem urzędnika policyjnego we Frankfurcie, dostarczy niewątpliwie silnych argumentów rządom, ubezpieczającym się przeciw rewolucyi. Widzimy dziś już w tym kierunku szeroko podjęto działanie.

Rząd austryacki przedstawił Radzie państwa projekt ustawy przeciwko anarchistom, oraz projekt przepisów, zakazujących używania materyi wybuchowych ze szkodą bezpieczeństwa publicznego. Główne artykuły określają: Zawiązywanie towarzystw, o których słusznie przypuszczać można, że mają służyć propagandzie idej socyalistycznych, zmierzających do obalenia obecnego państwowego i społecznego porządku, ma być zakazanem. Istniejące już stowarzyszenia podobnego rodzaju winny być rozwiązane. Stowarzyszenia wzajemnej pomocy, jeśli budzą podejrzenie, mają być oddane pod ścisły dozór państwowy. Tak samo obwarowano zgromadzenia, druki, składki, z zastrzeżeniem odpowiedzialności dla właścicieli gospód, szynkarzów, księgarzy itd. Naturalnie procesy z takich przewinień wytoczone, wyjęte są z pod władzy sędziów przysięgłych.

Równocześnie między rządem rosyjskim a pruskim nastąpiła wymiana not w przedmiocie wydawania przestępców politycznych. Noty te jednobrzmiące zobowiązują strony do następujących usług wzajemnych.

I. Rząd pruski (lub rosyjski) zobowiązuje się do wydawania rosyjskiemu (lub pruskiemu) na jego żądanie poddanych, oskarżonych lub skazanych za jedno z wymienionych niżej przestępstw i wykroczeń: 1) zabójstwo, gwałt, uszkodzenie cielesne, pozbawienie wolności osobistej i obrazę Monarchy; 2) za zabójstwo z powziętym zamiarem lub zamach; 3) za wyrabianie lub przechowywanie dynamitu, albo innych materyj wybuchowych, o ile

---

W Evreux przejeżdżali właśnie przez rynek, kiedy nowy prefekt wobec zgromadzonej ludności ogłaszał Rzeczpospolitą. 6 września wieczorem przybyli do Deauville po bezustannej 36 godzinnej jeździe. Cesarzowa od kilku dni silny miała katar, dużo płakała i wypotrzebowała wszystkie chustki. Evans zaproponował wypranie i wysuszenie zbrudzonych chustek. Cesarzowa z początku nie chciała na to pozwolić, potem ustąpiła i doktór zabrał się do roboty. Wysiadł, uprał chustki w rowie miejskim i zawiesił je na drzwiczkach powozu tak, że mogły wyschnąć na wietrze w czasie drogi.

W przystani Deauville stały dwa yachty. Jeden zwany „Gazella“ należał do Johna Burgoyne, osobistego przyjaciela Napoleona III. Do niego też udał się Evans, ale anglik odmówił stanowczo. Tłomaczył się, że jest cudzoziemcem i nie chce się mieszać do polityki. Zresztą utrzymywał, że nadciąga burza.

— Więc zwrócę się do yachtu amerykańskiego — rzekł doktór.

— Tego panu nie radzę — odpowiedział anglik—jeżeli pan nie chcesz utonąć bezwarunkowo. To nie okręt, ale czółno, które morza nie wytrzyma.

Doktór nalegał znowu i anglik uległ wreszcie. Ażeby nie zwrócić na siebie uwagi, całe towarzystwo późno wieczorem udało się na pokład, a nazajutrz o godzinie 6 rano 7 września „Gazella“ odbiła od brzegu.

Był to statek żaglowy, długi tylko 45 stóp, a jedyna kabina w nim miała wielkości 2 i pół metra.

W tej dziurze przez dwadzieścia trzy godzin — tak długo trwała podróż — siedziały cztery osoby: cesarzowa, pani Lebreton, doktór Evans i John Burgoyne. Powietrze niezmiernie było burzliwe, a sir John drżał w strachu największym, myślał bowiem, że zbliża się ostatnia jego godzina. Cesarzowa o wiele była spokojniejszą, bo największego uszła niebezpieczeństwa: niebezpieczeństwa porwania przez republikanów.

W przystani Ryde wylądowali. Wyglądali tak źle, że w hotelu Pier ich nie przyjęto. Poszli do hotelu York. Evans towarzyszył cesarzowej do Londynu i wynajął dla niej hotel Cambden-Place w Chislehurst, które obrała za miejsce stałego pobytu.

. . . .

Osoby, które cesarzowej pomogły do ucieczki, źle zostały wynagrodzone. Oficer nasz opowiada:

„Cesarzowa nie pomyślała nawet o podziękowaniu sir Johnowi Burgoyne: po roku dopiero, skoro jej lady Burgoyne uszczypliwą w tym względzie zrobiła uwagę, starała się złe naprawić. Co do dr. Evansa oczekiwał on od cesarzowej tylko — mniej sztywnego traktowania i publicznego świadectwa, gdy usiłowano zohydzić i ośmieszyć rolę, jaką grał w czasie ucieczki. Należy on do tych ludzi, którzy bez zdziwienia są w stanie odnieść do siebie przysłowiową niewdzięczność pewnych pań i panów.“

. . . .

Opuszczając Tuilerie, cesarzowa zabrała tylko te suknie, które miała na sobie. Hr. d'Herisson nie powiada, kto mu dał zlecenie wysłać za nią garderobę i inne przedmioty do osobistego użytku, ale szczegółowo opisuje, jak wypełnił to zlecenie. Zaopatrzony w potrzebne pozwolenie ministra spraw wewnętrznych Picarda i prefekta policyjnego Keratrego, porozumiał się z jedną z byłych panien służących cesarzowej i kazał sobie otworzyć prywatne komnaty Eugenii. Duży gabinet do pracy, buduar, sala modlitewna, sypialnia i gotowalnia tworzyły szereg łączących się z sobą pokojów z widokiem na ogród tuileryjski. Wszystkie ozdobione były z przepychem, całkowicie pozbawionym stylu i charakteru, tak, że całość, jak powiada d'Herisson, „więcej podobną była do buduaru, aniżeli do pałacu książęcego.“

Na biurku stała waliza pół otwarta. Widać, że pod wpływem strachu pozostawiono ją tu wśród pakowania, nie chcąc zwrócić uwagi przechodniów. Obok walizy leżał stos depesz, na które d'Herisson rzucił spojrzeniem. Będąca na wierzchu przeznaczoną była do Napoleona III i tak brzmiała:

„Do cesarza:

to jest karanem według przepisów miejscowych.

II. We wszelkich innych wypadkach, gdy wymagane będzie przez rząd rosyjski wydanie za jedno z przestępstw lub wykroczeń, niewymienionych w art. I, wymaganie to rząd pruski uwzględni i jeżeli nie znajdzie przeszkody, zadość mu uczyni, z uwagi na stosunki przyjaźni i dobrego sąsiedztwa, łączące oba państwa.

III. Jeżeli przestępstwo lub wykroczenie, skutkiem którego wymaganem jest wydanie, dokonane było w celu politycznym, okoliczność ta w żadnym wypadku nie może być uważaną za podstawę do odmowy.

IV. Ugoda niniejsza nabiera mocy z dniem wymiany not w tym przedmiocie między rządem cesarsko-rosyjskim a królewsko-pruskim.

Dotąd umowa zawarta została między rządem rosyjskim a pruskim, gdyż niemiecki potrzebowałby zatwierdzenia sejmu, którego nie jest pewnym. Po wybuchu wszakże londyńskim nadzieja zyskania zgody sejmu niemieckiego— którą żywi *Journal de St. Petersbourg* — nabiera prawdopodobieństwa. Czy inne państwa przystąpią do tego związku—przewidzieć trudno. W każdym razie mamy kampanię przeciw anarchizmowi bardzo rozległą.

Z FRANCYI.

Czterej znakomici kronikarze Paryża. — Charakter dzisiejszej literatury. — Naśladowcy Balzaca. — E. Zola i jego szkoła. — Śmierć akademika About.

Musset, mówiąc o kronice, jako formie literackiej zupełnie nowej, przedtem nieznanej, odmawia jej przymiotu uogólniania pojęć, co przy dzisiejszem rozspecyalizowaniu wiedzy jest rzeczą wielkiej wagi. Albert Wolff, któremu *Figaro* podobno płaci 500 fr. za kronikę, naturalnie na to się nie zgadza, dowodząc, bardzo zresztą logicznie, że fejletonista z pojedynczych faktów, z dorywczych spostrzeżeń, wyprowadza wnioski ogólne tak, że jego kroniki po latach choćby dziesięciu będą służyły jako materyał do historyi tych czasów, w których były pisane pod formą bądź lekką, bądź surową, akademicką; badacz znajdzie w nich dane, odnoszące się do rozwoju społeczeństwa, do jego pojęć i upodobań kierunku moralnego itd.

Przyznać zresztą należy, że kronika, jako forma literacka, jest pomysłem bardzo szczęśliwym dla czytelnika, bo mu daje od razu pojęcie ruchu, jaki się odbył w danym czasie. Nie można jednak powiedzieć, że to forma łatwa; talenty więc tego rodzaju są wszędzie bardzo cenione a szczególnie w Paryżu, gdzie wielkie nagromadzenie wypadków potrzebuje bystrzejszego poglądu do ich oceny.

W tej chwili Paryż odpoczywa po wielkich wstrząśnieniach, spowodowanych sprawą p. Hugues, wystawieniem *Teodory* i hałaśliwością bulwarów podczas świąt Bożego Narodzenia. Korzystam więc z tego spokoju dla zapoznania czytelników z czterema najzdolniejszymi kronikarzami Paryża.

Zaczynam od Henryka Fouquier, który jest fejletonistą rozsądnym, ale bardzo szczypiącym za pomocą słów dwuznacznych, których używa bardzo umiejętnie. Jest to pisarz staranny, dbały o język i dokładną znajomość rzeczy, do której wprowadza fortele, ukryte zręcznie pomiędzy słowami. Zamiast uderzać wprost, zadaje niepostrzeżenie rany bardzo bolesne. Mówiąc o jakimś wypadku bieżącym, jest tylko na pół kronikarzem, przedewszystkiem zaś szuka w nim nauki moralnej, nie bawiącej lub gorzkiej, lecz filozoficznej. Jest on rzeczywiście filozofem tego zakroju, który dziś nie istnieje, filozofem z siedemnastego wieku, optymistą, dosyć obojętnym, zadowolonym z ludzi, z rzeczy i ze świata, gniewnym na desperatów, pesymistów i wyznawców Schopenhauera. Lubi żyć, okazuje to i mówi, a istotne zadowolenie wyraża nie tylko w swych pismach, ale i w osobie. Jego umysł zanurzył się w eleganckiej metafizyce ludzi, którzy marzyli tylko o miłości mającej koić wszystkie cierpienia; na rzeczy zaś smutne, drażniące, straszne, zdaje się patrzeć przez rodzaj przejrzystej zasłony, na której są narysowane obrazy i figury kobiet uśmiechniętych, kokietujących, okazujących wdzięk swych linij, powab uśmiechów, nęcących oczami i ustami.

Nie ma on jednak sceptycyzmu swych duchowych przodków, po których objął dziedzictwo wdzięcznej moralności; jego wnioski, wyciągnięte ze spraw bieżących, są nacechowane pewną uczciwością.

Słowem, jest to jeden z pisarzów najwybitniejszych, najbardziej lubiany w prasie codziennej, jeden z tych, którzy pozwalają szanować i cenić dziennikarstwo.

Henryk Rochefort, znawca sztuk, starożytnych obrazów i wszelkiej archeologii, jest przeciwnikiem bardzo niebezpiecznym a raz zwalony przez niego nieprzyjaciel nie podnosi się wcale. Jego dowcip wybucha jak petarda i niema nic wspólnego z tradycyjną subtelnością francuską. Ten elegancki człowiek w masce klowna wynalazł pewnego rodzaju dziwną, że tak rzec można, klowneryę języka, sposób, za pomocą którego robi to, że wyrazy skaczą, co wytwarza śmiech komiczny, niepowstrzymalny, nieumiarkowany, jak prawdziwe błazeństwa cyrkowe. Przez dziwne zestawienie słów wytwarza fantastyczne dwuznaczniki i myśli zdumiewające. Z pod jego pióra wypadają wyrazy nieoczekiwane, dziwnie komiczne.

Wszyscy bawią się tą niewyczerpaną werwą paryską; zacząwszy od kobiet najwykwintniejszych, aż do oberwusów, umiejących zaledwie czytać, każdy oddycha tem powietrzem trotuaru.

Trzecim z kolei jest Aureli Scholl. Liczba wyrazów, którą on rozrzucił, jest tak dużą, jak liczba gwiazd. Wszyscy kronikarze obecni i przyszli czerpią i będą czerpać z tego zbiornika dowcipu.

Traktuje on rzecz prosto i napewno, uderza jak kulą i druzgocze. Ma wiele z dobrej tradycyi siedemnastego wieku, którą odrodził i która przez niego będzie w przyszłości tradycyą naszego stulecia. Czytając dobrą kronikę Scholla, czujesz wesołość francuską, płynącą z jej naturalnego źródła. Jest on, w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu, kronikarzem dowcipnym, fantazyjnym i zabawnym. Ma mnóstwo naśladowców, którzy choć przyjęli jego sposób pisania, jednak nie mają jego dowcipu, a przez to i wartość ich jest wcale nie wielką.

Albert Wolff jest zupełnie różny od trzech poprzednich. Z prawdziwym węchem wyżła umie wytropić jakiś fakt dnia,

---

Nie wracaj tu, jeśli nie chcesz wywołać najstraszniejszej rewolucyi. Jest to zdanie Rouhera i Chevreau, z którymi mówiłam dziś rano. Powiedzianoby tu, że uciekasz przed niebezpieczeństwem. Nie zapominaj, jakiem brzemieniem przez życie całe ciążyło na księciu Napoleonie jego opuszczenie armii krymskiej.

Eugenia.“

. . . .

W sypialni cesarzowej oficer ordynansowy spostrzegł fotel na kółkach, którego cel wytłomaczyła mu panna służąca. Nad komnatami cesarzowej, na drugiem piętrze, był szereg pokojów, zupełnie taki sam mających rozkład. Pokoje te, w których mieszkały służące, od góry do dołu zaopatrzono w wielkie szafy dębowe. W szafach tych mieściły się suknie wszelkiego rodzaju, okrycia, kaftaniki, bielizna, koronki, znaczna ilość chińskich materyj jedwabnych w sztukach itd. Prócz tego jeszcze osobny pokój na kapelusze, obuwie i futra, słowem, był to kompletny arsenał księżnej, która wie, jak wiele zawdzięcza toalecie. W pokoju na drugiem piętrze, odpowiadającym sypialni, gdzie stał fotel na kółkach, umieszczone były cztery duże figury, ściśle takiej samej wielkości i obwodu, jak cesarzowa. Kiedy dyżurna dama pałacowa przez tubę pannom służącym potrzebne udzielała rozkazy co do każdorazowego stroju cesarzowej, panny te odpowiednią odzież wydobywały z szaf, przystrajały w nią jedną z figur, sadzały na fotelu, który zjeżdżał na dół do sypialni, tak, że cesarzowa widziała, jak będzie wyglądać i mogła wybierać. Potem figurę rozbierano i nagą znów odwożono na górę.

Hrabiemu d'Herissonowi udało się odstawić cesarzowej część jej garderoby, zanim jeszcze municypalność Paryża takową wzięła w posiadanie. Odebrał mianowicie od nadwornego dostawcy Valenciena oddane mu na przechowanie futra wartości 600,000 franków. Część inną odwiózł do księcia Meternicha. Całą garderobę d'Herisson ocenia na trzy do czterech milionów franków.

. . . .

Nie doznał on wdzięczności ex-cesarzowej. Minister spraw wewnętrznych Picard, spostrzegłszy z jaką gorliwością zabrał się do spełnienia danego sobie zlecenia, rzekł raz do niego:

— Ależ do dyabła, czemuż zadajesz pan sobie tyle trudu? Czyż sądzisz, że powrócą? Mamy przed sobą, co najmniej, dwa pokolenia republikańskie. A zresztą, gdyby nawet powrócili, przyjacielu mój, zbyt mało znasz wielki świat, jeśli mniemasz, że choć trochę byliby ci wdzięczni za to, żeś wtargnął do Tuileriów. Bo, pomyśl tylko: posyłasz im rzeczy ich, a więc przypuszczasz, że nie tak prędko wrócą, że co najmniej przez pewien czas będą nieobecni. Przypuszczenie tego rodzaju sprzeciwia się winnemu szacunkowi — i nie wybaczą go panu. A jeśli nie wrócą — wdzięczność zawsze będzie ta sama!

Picard miał racyę. Ponieważ w Paryżu nie znalazł się nikt, ktoby chciał ponieść koszta przewozu, d'Herisson zaspokoił je sam z pensyi swojej. Spodziewał się przynajmniej podziękowania, pamiątki jakiej od cesarza lub Cesarzowej. Czekał przez dziesięć lat, potem posłał rachunek wydatków pieniężnych, które po kupiecku zostały mu zapłacone i — nic więcej.

. . . .

Inny ustęp dziennika podaje projekt proklamacyi, jaką do ludności Paryża miał wydać gubernator, generał Trochu na czternaście dni przed upadkiem miasta. Rząd obrony narodowej nie przyjął tego projektu, który rzucony został pod stół, skąd wydobył go hr. d'Herisson i przekazał potomności.

Proklamacya brzmi:

„Rzeczpospolita francuska.

Gubernator Paryża do obrońców Paryża i rodzin paryskich.

Wstępujemy w czwarty miesiąc oblężenia, a wysiłek ten nadmierny do głębi wstrząsnął krajem całym. Kraj cały w zbroi i o każdą piędź ziemi dzielnie walczy z nieprzyjacielem. Wierzę mocno i błagam się do świętej Genowefy, oswobodzicielki Paryża z czasów napadów hord barbarzyńskich, ażeby raz jeszcze użyczyła Paryżowi swojej opieki. Postanowiła za chwilę ziścić me prośby. Jakoż Opatrzność działa-

wypadek paryski, rzecz, która musi interesować, wzruszać, roznamiętniać publiczność. A on nie tylko ów wypadek odkrywa, ale potrafi go odkopać, objaśnić, rozwinąć, i to w sposób, w jaki winien być odkopany, objaśniony i rozwinięty tego właśnie dnia, aby odpowiedzieć wszystkim oczekującym nań umysłom.

W tej chwili Wolff jest zajęty tem, co winni zrobić wszyscy prawdziwie paryscy kronikarze, którzy żyli długo w tem ruchliwem i tak dziwnem życiu dziennikarskiem — pisze swe pamiętniki. Próbkę tej pracy już dał w *Szumowinach Paryża*, znanych czytelnikom *Prawdy*.

Przy tej sposobności rzućmy okiem na kierunek dzisiejszej literatury francuskiej. Jedni nad nią wzdychają i lamentują, a mówiąc o upadku, zapytują z niepokojem mniej lub więcej szczerym, dokąd ona dąży; inni z wyrozumiałością dyletantów żartują sobie ze zgorszenia moralistów.

Jest rzeczą małej wagi wiedzieć; kto ma słuszność, bo zgorszenie pierwszych nie zmieni w niczem mody literackiej, która odpowiada gustom i obyczajom pewnej publiczności, dowodzenia zaś drugich nie przekonają tych, przeciwko którym są podnoszone zarzuty.

Warto natomiast wskazać przyczyny, które tworzą tę modę.

Kiedyś literatura posługiwała się symboliką. Wtedy pisarz nie wyrażał prosto i ściśle swych myśli, lecz nadawał im formę bajki, przenośni, opowieści dramatycznej, romantycznej, komicznej albo tragicznej, mającej zaciekawić, poruszyć, roznamiętnić, wywołać śmiech albo łzy; czytelnikowi pozostawiono zadanie i pracę wydobycia idei. Postępowano jak aptokarz, który maskuje mniejszą lub większą ilością cukru i pachnidła przykry smak albo woń kilku miligramów substancyi prawdziwie leczącej.

Z biegiem czasu ten sposób okazał się niedostatecznym. Trzeba było zamiast syropu przygotować pigułki filozoficzne, metafizyczne, socyologiczne, bez przyprawy literackiej, która zawsze nadaje im powab ze szkodą ścisłości.

Był także czas bardzo nawet niedaleki, kiedy autorom, zdawało się, że tworzą dzieła filozoficzne, albo socyalne, uosabiając idee, stronnictwa, rasy, albo klasy w postaciach i walkach zmyślonych. Z tak utworzonej komedyi, romansu, dramatu, winien był wypływać sens moralny, nauka, podobnie jak z przypowieści Chrystusa, bajek Ezopa albo Lafontaina.

Metoda ta przestarzała się. Balzac natchnieniem swego wielkiego geniuszu postanowił, opuszczając stary symbolizm i starą fantazyę, przekształcić powieść na rozdziały historyi naturalnej, opisać obyczaje pewnych grup rodzaju ludzkiego.

Zadanie swoje spełnił tak dobrze, że po nim nie pozostało nic do zrobienia w tym kierunku.

Pomysł ten miał jednak naśladowców, z których najgodniejszymi uwagi są: Flaubert i Daudet.

Skutkiem warunków, wywołanych rozwojem pojęć, skutkiem przekształcenia, dokonanego w umysłach nowożytnych pod wpływem teoryj naukowych, literatura musiała się rozdzielić i istotnie rozdzieliła się na dwa kierunki: jeden filozoficzny, historyczny, pozytywny, naukowy, krytyczny, wymagający ścisłości w wyrażeniach, w którym treść góruje nad formą; drugi czysto artystyczny, w którym przyjemne formy i pewnego rodzaju wirtuozostwo tworzą całą wartość pracy, niezawierającej nic albo prawie nic.

Z wielkim talentem i wprawą Zola chciał wytworzyć trzecią kategoryę, mającą pretensyę do rozbioru rzeczywistości. Była to sposobność zdobycia chwały nowatora. Na nieszczęście siły nie dopisały chęciom.

W utworach Zoli widzimy stary symbolizm postaciowania pewnych klas albo kast, pewnych cnót, namiętności, występków. Opisy mogą być a nawet są realne. Ale realizm ich spoczywa tylko w dekoracyi, osobistości zaś, które w niej działają, nie są rzeczywiste a nawet nie są prawdziwe.

Utworzyła się też zaraz szkoła pisarzów, naśladujących Zolę i chcących podtrzymać jego tradycyę; ale są to tylko dyletanci, niemający żadnej idei, którąby mogli wyrazić. Zaczęto od jaskrawości bardzo zwyczajnych, najogólniejszych; potem przedstawiano rzadsze, z większem wyrafinowaniem i przesadą, a wreszcie rzucono się do obrazów potwornych.

Mylą się jednak ci, którzy sądzą, że literatura ta jest popularną. Istnieje ona dla pewnej klasy publiczności, dla klienteli najwięcej czytającej, najbogatszej, najwytworniejszej, uchodzącej za śmietankę towarzystwa. W jednym z zagranicznych przeglądów, w artykule, który narobił tyle hałasu i wzbudził tyle gniewu, Zola dał dosyć ścisły opis swej klienteli, wynoszącej około trzydziestu do czterdziestu tysięcy osób, z których prawie dwie trzecie należą do płci żeńskiej. Dla tej sfery szkoła literatów i artystów pracuje tak samo, jak krawcy, modystki, jubilerzy, tapicerzy, którzy starają się zadowolić gust kundmanów, wywołując albo wytwarzając ich fantazye.

Co do reszty publiczności, która liczy około stu tysięcy czytelników i czytelniczek, ta jest przywiązaną do starej literatury, do dawnych powieściopisarzy i nie zajmuje się wcale ani formą, ani stylem, niemniej jak i prawdziwością charakterów i sytuacyi. Czytelnicy tego rodzaju szukają w powieści chwilowej rozrywki, przelotnego wstrząśnienia. Może z czasem, pod wpływem wychowania i przykładu, publiczność ta nabierze także gustu do utworów realistycznych; dotąd jednak jeszcze niema w nich upodobania.

Aby zmienić dążność dzisiejszej literatury, trzeba najprzód zmienić publiczność, dla której się pisze. Tego jednak nie dokona ani żaden moralista, ani żaden sąd, bo taki przewrót bywa wynikiem bardzo wielu przyczyn i stanu społecznego, który trzebaby zmienić wprzód, nim się zmienią objawy życia artystycznego i literackiego.

Literatura dawniejszego zakroju straciła jednego ze swych wybitniejszych przedstawicieli Edmunda About, posiadającego w najwyższym stopniu dwa francuskie przymioty: dowcip i jasność.

Jego pierwsze prace pojawiły się w epoce ubóższej literacko, to też wywołały prawdziwy zachwyt. About był zarazem sławnym dziennikarzem, modnym romansopisarzem, którego psuło miasto a szukał dwór.

Marząc o roli politycznej, zaproszony przez cesarza do Compiègne, chciał go skłonić do reform, co mu się jednak nie udało. Po upadku cesarstwa About stał się zagorzałym republikaninem i obraził na siebie szczególnie cesarzową Eugenię.

Ale jego świetnemu umysłowi brakło miary i to była tajemnica nowych zawodów, wskutku których zmarły nie był ni-

---

jąc, natchnęła wroga myślą bombardowania, które ujmę przynosi wojskom niemieckim, które bezcześci cywilizacyę i w sposób świetny a wzruszający zarazem opromienia wytrwałość mieszkańców Paryża. Umierają kobiety, dzieci, chorzy, ranni; ale opinia publiczna, która rządzi światem, jest teraz i pozostanie za nami. Gdy zdawać się będzie nieprzyjacielowi, że zniszczyło nas jego bombardowanie, niewątpliwie podwoi swe napady. Jestem pewny, że zdołamy je odeprzeć. Wybije godzina odwetu.

Przygotujcie się do walki na śmierć i życie. Czuwajcie! Oszczędnie obchodźcie się z zapasami żywności waszej! Podzielcie je troskliwie! Kto ma zapasy żyta lub mąki, niech je odda rządowi obrony narodowej na potrzeby wszystkich. Przedłużajcie trwanie oblężenia wszelkimi środkami, jakie wam doradza patryotyzm! Nie przestawajcie ponosić wielkich ofiar, jakich przykładem od dni już tylu z taką przodujecie szlachetnością! Przedewszystkiem zaś starajcie się do ostatniej godziny zachować w sobie wiarę, którą osłabić usiłują, wiarę w zbawienie ojczyzny."

Paryż, 14 stycznia 1871 r.

Generał Trochu.

Kto przeczyta tę proklamacyę, nie zdziwi się, że rząd obrony narodowej projekt jej rzucił do kosza.

. . . .

Ciekawym też jest obrazek z czasu układów pomiędzy Bismarkiem a Juliuszem Favre w przedmiocie zawieszenia broni. Hr. d'Herisson, jako umiejący po niemiecku, dodanym był przedstawicielowi Francyi w charakterze sekretarza.

Przed rozpoczęciem narad Bismark podał Favrovi tackę, na której były trzy cygara, i zapytał, czy pali.

Favre ukłonił się, dziękując i odrzekł, że nie.

— Nie dobrze pan czynisz—odparł znów kirasyer-dyplomata. Kiedy się rozpoczyna rozmowę, mogącą doprowadzić do oświadczeń gwałtownych — potrzeba palić. Widzi pan — ciągnął dalej, zapalając cygaro — gdy się pali, należy trzymać cygaro pomiędzy palcami, należy je podnosić do ust, nie wolno go spuszczać—przez co unika się zbyt namiętnych poruszeń ciała lub je osłabia. Co do stanu duchowego, cygaro nie pozbawia nas żadnej ze zdolności umysłowych, lecz daje nam pewien stopień spokoju moralnego. Cygaro jest rozrywką, a ów dym niebieski, który w kłębach unosi się ku górze i za którym oko goni pomimo woli, oczarowywa nas i czyni bardziej uprzejmymi. Oko ma zajęcie, ręka zatrudniona, organ węchu zadowolony — jesteśmy szczęśliwi. W takiem usposobieniu człowiek bardzo skłonnym jest do ustępstw wzajemnych. Zawód zaś nasz, zawód dyplomatyczny składa się z ciągłych ustępstw obustronnych. Pan, który nie palisz, jesteś pod jednym względem w lepszem, aniżeli ja, położeniu: jesteś uważniejszym, pod innym — w gorszem: łatwiej pozwalasz się porwać i ulegasz pierwszemu wrażeniu.

Po załatwieniu innych spraw, poruszono kwestyę, czy i Garibaldi ma być objętym zawieszeniem broni.

— Ależ ja go chcę mieć! — zawołał Bismark. Każę go oprowadzać po Berlinie z kartką na plecach i napisem: „Wdzięczność włoska." Po wszystkiem, cośmy uczynili dla tych ludzi to, doprawdy, nieprzyzwoite!

Wtedy — dodaje Herisson — odważyłem się na krok śmiały, ale wobec człowieka tak, jak Bismark, wychowanego i postawionego— nieryzykowny. Oto wziąłem tackę z cygarami i na pół uśmiechając się, na pół kłaniając, w postawie błagającej i pełnej uszanowania, podałem mu cygara. Przez chwilę nie domyślił się, o co chodzi, potem nagle zgasł gniew w oczach jego.

— Masz racyę, kapitanie—powiedział—gniew tu nie na miejscu.

. . . .

Jeżeli Herisson nie zmyśla, to zaiste niezwykłym jest człowiek, który zabierając się do operacyi odcięcia dwu prowincyj i wydarcia 5 miliardów Francyi, wykłada jej przedstawicielowi korzyści... palenia cygara!

---

czem ani za cesarstwa, ani za Rzeczypospolitej.

Chciał tylko dwóch rzeczy: zostać senatorem i akademikiem. Senat jednak zamknął mu drzwi; znalazł je za to otwarte do Akademii, która go wybrała po J. Sandeau.

Jednakże i tutaj zawistne losy nie pozwoliły mu nawet zająć przeznaczonego fotelu, bo przed przyjęciem publicznem About umarł.

Od czasu istnienia Akademii francuskiej, dopiero trzeci raz (nie licząc wypadku z Emilem Ollivier) wybrany akademik nie miał szczęścia oglądać zaszczytu publicznej sesyi.

Zmarły był wolnomyślicielem i bezwyznaniowcem, pogrzebano go też cywilnie. Przed nim tylko Saint-Beuve i Karol Blanc z Akademii byli w ten sposób pochowani. Nad grobem przemawiał Caro.

Gnotus.

SOCYOLOGIA A. MICKIEWICZA.

V.

Socyologia Mickiewicza, idealizująca przeszłość naszą aż do niepoznania, przedstawia Rzeczpospolitą polską w różowem świetle, w najjaśniejszych barwach. Kiedy wszystkie narody biły pokłony *interesowi*, ona nie ma nawet wyrazu na ochrzczenie tego bałwana. Od początku do końca wierni Bogu przodków swoich, nie napastowali jej królowie, ani rycerze żadnego narodu wiernego, ale bronili chrześciaństwo od wroga i barbarzyńców, niosących niewolę, idąc na obronę chrześcian w dalekie kraje. „I dał Bóg królom polskim i rycerzom wolności, iż wszyscy nazywali się bracią i najbogatsi i najubożsi, a takiej wolności nie było nigdy przedtem, ale potem będzie. Rzeczpospolita przyjmowała do braterstwa swego coraz więcej ludu, przyjmowała całe pułki i pokolenia.“ Nakoniec rzekła Rzeczpospolita: „Ktokolwiek przyjdzie do mnie będzie wolny i równy, gdyż ja jestem wolność. To spowodowało jej upadek“...

„*Nie wyszukujcie ustawicznie w przeszłości błędów i grzechów* — woła poeta. Wiecie, iż ksiądz na spowiedzi zakazuje ludziom o przeszłych grzechach myśleć, a tem bardziej z drugimi gadać, bo takie myśli i gadania znowu do grzechu prowadzą. Bądźcie pewni, iż znajdą się ludzie, których obowiązkiem będzie te brudy wygrzebać, i sędziowie i kat, który ukarze. Jeśli idziecie przez miasto, wszakże nie czyścicie bruku, widząc śmiecie, a jeśli spotkacie złodzieja złowionego, nie spieszycie się ciągnąć go na szubienicę. Są inni ludzie, do których to należy. Mówiąc o przeszłości, jeśli powtarzacie: oto w tej bitwie zrobiono taki błąd, a w owej bitwie taki błąd, a w tym marszu taki błąd; dobrze to jest, ale nie myślcie, żeście bardzo rozumni, bo łatwo widzieć niedostatki a trudno zalety. Jeśli na obrazie jest plama czarna, albo w obrazie dziura, tedy lada głupi postrzeże je; ale zalety obrazu widzi tylko znawca. Ludzie dobrzy sądzą, zaczynając od dobrej strony.“

Gotując się do przyszłości, potrzeba wracać się myślą w przeszłość, ale o tyle tylko, o ile człowiek, gotujący się do przeskoczenia rowu, wraca się w tył, aby się tem lepiej rozpędzić. Nie trzeba miotać pereł przed wieprze. Nie gadać wszystkim cudzoziemcom o wielkich rzeczach, które poczynił naród nasz dla dobra świata, bo jedni nam nie uwierzą, a drudzy nas nie zrozumieją; ale nie trzeba szkalować swojej ojczyzny, wytykać w jej prawach i urządzeniach błędy.

„Pewny gospodarz głupi, spraszając gości, pokazywał im naprzód w domu swoim miejsca, gdzie rzucają śmiecie, i inne miejsca brudne, tak iż ckliwość obudził i nikt potem nie chciał siadać do stołu jego. Ale gospodarz rozumny prowadzi gości czystym przysionkiem do izby biesiadnej. Miejsca na śmiecie i brudy w każdym domu są, ale zakryte od oczu.“ Mówiący cudzoziemcom o ojczyznie swej, a zaczynający od tego, co w niej było złe i fałszywe, podobni są do owych gospodarzy, pokazujących swym gościom naprzód swoje brudy.

Zresztą w socyologii Mickiewicza jest Rzeczpospolita pełna cnót i zalet. W narodzie jej leży wielkie, głębokie, powszechne uczucie szlachetności, poczciwości i szczerości. Oto kilka tylko przykładów: W dawnej Polsce była większa wolność druku, niż gdziekolwiek w Europie, ale uczucie narodu było straszną cenzurą, więc druku nie nadużyto. W czasie rewolucyi dano u nas wzorowy przykład prawdy i uczciwości w biuletynach wojennych. Przedtem mówiono: kłamie jak rozkaz dzienny, myśmy dopiero zrehabilitowali styl wojenny. Rzeczpospolita polska dała też pierwsza Europie wzór (!) opodatkowania. Gdy za czasów Kościuszki obywatele uchwalili dziesiąty grosz i lubo taksę dochodów im samym zostawiono, większa część podała dochody wyższe, niż były w istocie. Cała Europa musi nauczyć się od nas kogo nazywać mądrym i dobrym. Nie my mamy się uczyć cywilizacyi od Zachodu, ale my ich mamy uczyć prawdziwej cywilizacyi chrześciańskiej. Nie wszyscy jesteśmy równie dobrzy, ale *gorszy z nas lepszy jest, niż dobry cudzoziemiec.* Ani w radach, ani w zmowach, ani w uroczystościach, ani w ubiorach, ani w innych objawach cywilizacyi Zachodu nie mamy naśladować „bałwochwalców,“ ale oni z nas mają brać przykłady.

„Bałwochwalcy“ zaczynają rady i spiski, obchodzą nawet święta narodowe jedzeniem i piciem. Stół jest ołtarzem ich, a brzuch Bogiem ich. My zaś obchodzimy święta narodowe i zaczynamy obrady obyczajem przodków, idąc do kościoła na mszę i do komunii i poszcząc dzień cały. „Bałwochwalcy“ urząd chcą zrobić szanowanym nie przez poświęcenie się, ale przez ubiór i czepiają na siebie purpurę, gronostaje i ordery; są jak nierządnice, które się bielą, różują i stroją, a są brzydkie jak noc. My nosiliśmy czamary, strój, w który ubierano umierającego. A przecież wiadome są na świecie imiona tych, którzy taki strój nosili. Któż nie zna męża, co wyprowadził wojsko z Litwy, i męża, który powiedział w dniach walki: młodzieńcy róbcie, coście zamyślili... A któż wie, jak się nazywa król neapolitański i sardyński, chociaż purpurę noszą? Kiedy pisano za granicą o niezgodach emigracyi był— według Mickiewicza—w tym wrzasku nieprzyjaciół dowód ich słabości, dowód, że udając wielką pogardę ku nam, boją się nas dotąd i kłamią na naszą int[illegible]cyę. Politykowanie domowe emigr[illegible]ntów jest głębsze i szczersze, niż politykowanie gazet zagranicznych, a nawet i ministrów, bo ci pogrążają się albo w politykę chwilową, uliczną albo ulatują w abstrakcye; rzadko za Paryż a nigdy prawie za Ren i Alpy nie wyglądają. Pielgrzymi zaś posiadają geografię i politykę podeszwianą, wydeptali niemało krajów, a zmuszeni są potęgą i liczbą nieprzyjaciół tudzież uczuciem wielkiem sprawy swojej ścigać myślą daleko w przyszłość i szukać oczyma sprzymierzeńców. Najmniejszy objaw polityczny zwraca ich uwagę; są to pasterze chaldejscy, ustawicznie patrzący w niebo, a którzy lepiej znają ruch gwiazd, niżeli dzisiejsi astronomowie.

Emigranci są wśród cudzoziemców jako apostołowie wśród bałwochwalców. Żydzi, czyli ludzie niemający miłości ku bliźnim, a czczący wszechmocność ludu, równość i wolność, zesłani są na wytępienie tych bałwochwalców chananejskich, prawem Mojżesza, Robespiera i Saint-Justa, od starca do ssącego dziecka. Ale jako między żydami w stolicy ich powstał Chrystus i zakon jego, tak w stolicach liberalistów europejskich powstanie zakon polski poświęcenia się i miłości. Ci liberaliści, kiedy słyszą pielgrzymów przybyłych z północy, mówiących o Bogu i wolności, gniewają się i wołają jak doktorzy na Chrystusa: A skąd mu tyle nauki, synowi cieśli? a jak on śmie nas uczyć starych doktorów? Mickiewicz wierzył, że sprawa emigracyi wywołaną będzie przed sąd świata nie inaczej, tylko głosem jakiejś powszechnej politycznej burzy, nie ufał zaś klikom dyplomatycznym, nie opierał swych nadziei na rozprawach parlamentu, ani na notach gabinetów, nieszczerych i niedołężnych.

Najwięcej spodziewał się od partyi t. z. republikańskiej we Francyi; nie przyznawał jej wprawdzie szlachetnych i wielkich celów, ale mniemał, że opozycya ta wywróci porządek ówczesny, rozpocznie wojnę i wyzwie emigracyę do działania. Zresztą swoje *credo* polityczne złożył poeta w następującej przypowieści, wiernie odbijającej stosunki emigracyi.

„Onego czasu rozbił się okręt; wszakże część ludzi wypłynęła na brzeg cudzy. Byli zaś między tymi, co wypłynęli, żołnierze i majtkowie, ludzie morscy i rzemieślnicy, i uczeni piszący książki. Wszyscy narzekali i chcieli do ojczyzny wrócić, i weszli w radę. Lud brzegu owego nie dawał im okrętu, ani łodzi, bo był chciwy. Poszli tedy do lasu i zaczęli opatrywać drzewa, a rozprawiać, wiele tych drzew potrzeba i jaki okręt zbudować, czy podobny do dawnego, czy nowym kształtem. Tymczasem ludzie owego brzegu przybiegli na odgłos kłótni i wygnali rozbitków z lasu. Zaczęli więc narzekać i weszli w radę. Mówili jedni, iż przyczyną rozbicia był sternik, i chcieli go zabić, ale był utonął; drudzy skarżyli majtków, ale mieli tylko kilku ludzi morskich, i zabiwszy ich, nie mieliby z kim płynąć, więc ich tylko łajali i urągali się nad nimi. Niektórzy wywodzili, iż rozbicie przyszło z wiatrem północnym, inni składali je na wiatr zachodni, inni obwiniali skałę podwodną. I stała się między nimi kłótnia wielka, trwała zaś rok cały, a nic nie uradzono. Rzekli więc: rozejdźmy się a szukajmy sposobów do życia. Więc cieśle poszli budować domy a uczeni książki pisać cudzoziemcom, każdy wedle rzemiosła swego. Ale wszyscy tęsknili do ojczyzny, a jedni nie umieli budować wedle rozkazania budowniczych cudzoziemskich, a drudzy nie umieli pisma onych ludzi. Narzekali więc i weszli znowu w radę. I znalazł się między nimi człowiek prosty, ten rzekł im:

Pracując i żywiąc się, zapominacie, że musimy powracać do ojczyzny, a nie powrócimy tylko okrętem i po morzu. Niech więc każdy z was buduje i pisze, ale razem *niech każdy kupi siekierkę a uczy się pływać.* Zaś ludzie morscy, którzy między nami są, niech wywiedzą się o morzu i o brzegach tutejszych i o wiatrach. A gdy będziem gotowi, pójdziemy do lasu i zbudujemy prędko okręt nim się obejrzą ludzie brzegu *a zbudujemy tymczasem kształtem dawnym, bo nie mamy czasu nowego probować*, a gdy wsiądziemy i wypłyniemy, zbierzemy ludzi morskich i każemy im obrać z pomiędzy siebie sternika. Ludzie morscy równie jak my nie zechcą utonąć, więc dobrze wybiorą. Zrobili ci jak im radził i wypłynęli szczęśliwie.“

Taką była socyologia Mickiewicza.

H. Biegeleisen.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Juliusz Falkowski **Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce.** Poznań, Żupański, t. III, str. 545 w 8-o.

W tej nowej, już trzeciej z rzędu, seryi obrazów z pierwszych dziesiątek lat tego wieku przedstawia autor dzieje wojenne i polityczne Księstwa warszawskiego (1809—1812), jego stan wewnętrzny, życie towarzyskie i ruch umysłowy. Nie możemy pisać o dyplomacyi, plątającej siecią intryg biedne Księstwo warszawskie, nie mamy chęci *gubienia* się razem z autorem w labiryntach bitew, potyczek, oblężeń, traktatów i tym podobnych działań; pozostaje nam tedy zajrzeć do wnętrza dziejów, ocenić prawdę i wartość malowidła tych ostatnich obrazów.

Gdy Napoleon utworzył Księstwo warszawskie, zrazu drobne, bezsilne, prawie suchotnicze, kładąc je wrzekomo pod skrzydła Saksonii, wielkie mocarstwa spoglądały z uśmiechem szyderstwa na ten ustrój polityczny, któremu nikt długiego życia nie wróżył. A przecież przetrwał on wszystkie burze wojenne i polityczne! Dwie dzielnice, odebrane po kolei Austryi i Prusom, które je do szczętu wycieńczyły, połączone na powrót w jedno ciało, odżyły szybko życiem umysłowem i jak chce p. Falkowski—towarzyskiem. Ubogie państewko przedstawiało pouczające widowisko ogromnych wysileń i niesłychanych ofiar ciężko skarconego narodu, usiłującego koniecznie odzyskać straconą przez własną winę dawną, wielką ojczyznę. Napoleon dał księstwu instytucye, które były ostatnim słowem ówczesnej cywilizacyi, opartej na zasadach równości i wolności, zaprowadził mechanizm administracyjny francuski, uznany wówczas za najdoskonalszy; ale te nowe formy polityczne i społeczne nie licowały z naszymi przesądami, z naszą próżnością i gadatliwością, z naszemi anarchicznemi nawyknieniami. Trzeba było przejść twardą szkołę, aby się pozbyć tych fałszywych „tradycyj" i w danych warunkach rozpocząć dzieło odrodzenia na polu moralnem i materyalnem. Przyznać należy, że Księstwo spełniło, jak mogło, to ciężkie zadanie, i że położyło pierwsze podwaliny uspołecznienia zdziczałego lub obumarłego narodu przez podniesienie i rozpowszechnienie oświaty, przez podźwignienie rolnictwa, przemysłu i handlu, przez zaprowadzenie porządku i polepszenia komunikacyi. A nie przyszło to tak łatwo ubogiemu i wycieńczonemu państewku, któremu przedewszystkiem trzeba było spokoju i leków na jego rany, a któremu kazał utrzymywać Napoleon 60.000 wojska, zapełniać arsenały, wzmacniać twierdze a potem na krańcach Europy staczać walki.

Wynikło z tego, że nadmiernie nakładane na kraj podatki w części tylko wchodziły do skarbu narodowego, który był w ogromnym deficycie, że straszliwa nędza szerzyła się po kraju od chat wiejskich do szlacheckich dworów, zaglądając nawet czasem do pańskich pałaców. Sekwestry za długi, za podatki, były na porządku dziennym. Wreszcie nie było już czem płacić ani wojska, ani urzędników, zawieszono nawet wypłatę zahipotekowanych kapitałów.

Od tego rozpaczliwego stanu odbija jaskrawo życie towarzyskie wyższych warstw społeczeństwa warszawskiego. Wprawdzie chce nas przekonać autor *Obrazów z życia ostatnich pokoleń*, że „coraz mniej było wystawy w domach, coraz skromniejsze przyjęcia;" ale pobieżny rzut oka na to życie zbija zbyt optymistyczne zapatrywania p. Ful. „U nas tu ciągłe stękania, utyskiwania, narzekania—pisze Nakwaska, prefektowa Warszawy, w czasie karnawału 1811 r. Tego zapozywają, temu sekwestrują już majątek za długi, temu gorzej jeszcze, bo nie ma już z czego żyć, a ta graty sprzedaje, ażeby dzieciom dać jeść—wogóle jednak lubo pustki w szkatule, wesołość na twarzach, a na zabawach i śmiechu nigdy nam nie zbywa. Marszałek sejmowy ciągle dom swój urządza na ogromną skalę, a nie ma dukata w kieszeni na opłacenie kosztów; u pani Stanisławowej (Potockiej) *assemble* co niedziela. U Zamojskich *wielkie* obiady co poniedziałek. U Stasia (Grabowskiego) herbaty tańcujące co piątek. Książe Józef (Poniatowski) daje dwa razy na tydzień wielkie obiady. Dodaj do tego teatr (i tysiączne zabawy i przyjęcia, o których na innem miejscu wspomina) a pojmiesz, jak nam tu czas schodzi. Są dnie, w których aż cztery toalety robić muszę... Bale wielkie i małe, pikniki a zwłaszcza wielkie obiady ciągną się bez końca. Nie postrzegamy, że długi nasze rosną bez końca u kupców, którzy są szczęśliwi, że mogą sprzedawać na kredyt, bo inaczej niby nie sprzedawali." A Nakwaska obracała się tylko w ciasnem kole znajomych. Śniadania, obiady i wieczory u Aleksandrów Potockich, u pani kasztelanowej połanieckiej Lanckorońskiej, u państwa Ossolińskich, u księżny Sułkowskiej, w wielu innych domach Warszawy były jej prawie obce. Z trzech wielkich festynów, o których wspomina Koźmian w swoich *Pamiętnikach*, był bal kostiumowy u rezydenta francuskiego Bignona najświetniejszy zapewne, aby oderwać towarzystwo od obaw i trosk wobec oznak bliskiej wojny. Stroje kosztowały krocie tysięcy. Najwystawniej przebrane były księżna Sułkowska z siostrą panną Teresą (Kicką) za Katarzynę Medycejską, obie *w sukniach aksamitnych, obie drogiemi kamieniami okryte.* Pani Zamojska z księżną Sapieżyną, jako indyanki, „w *nader bogatem* ubraniu, ale nie dosyć okryte," ks. Radziwiłłowa, jako wielka kapłanka Westy, z orszakiem dwunastu Westalek, pani Kamieńska w stroju Morlaczki (serbki) *także bardzo bogatym*, pani Chodkiewiczowa i pani Walicka jako kniahinie moskiewskie, pierwsza cała *kaszmirowymi szalami* okryta, z głową *obciążoną dyamentami*, druga *w podobnież okazałym* kostiumie. Pani Adamowa Potocka *w pysznym* stroju z siostrą w postaci Kopciuszka (sztuki przedstawianej wówczas na scenie warszawskiej). Nakoniec trzy Grudzińskie i pani Rautenstrauchowa w strojach fantazyjnych, od których nie można było oczu oderwać... A działo się to w rok po wystąpieniu owej złowrogiej komety z niesłychanymi upałami, które wypaliły zboża na pniu i sprowadziły najokropniejsze klęski na kraj, głód i mór po wsiach, choroby w miastach, pożary lasów i bankructwo szlachty; w tym samym czasie, kiedy Napoleon, niepomny na wyniszczony do szczętu skarb narodowy i na zupełny upadek rolnictwa, handlu i przemysłu, wyśrubowawszy pobór wojskowy do 86.000 głów i 25.000 koni, wyczerpał nasze najlepsze siły, ogołociwszy zupełnie kraj z ludzi młodych, zdrowych i zdolnych, którzy marnie potem poginęli na wyprawie moskiewskiej; w tym samym roku nieurodzaju i powszechnej nędzy, kiedy spędzono 20,000 robotników—włościan z całego kraju „dla wzmocnienia twierdz" a kazano im przynieść z sobą żywność na trzy miesiące... zapłatę zaś odliczono w należnych szarwarkach pańszczyźnianych i w przyszłych podatkach, kiedy trzeba było iść do roboty o kilkadziesiąt mil z łopatą na ramieniu, z workiem żywności na plecach i z ostatnim groszem w kiesce—aby twierdze wojenne stanęły co prędzej okopane i uzbrojone.

Całą okropność tego położenia opisuje spokojnie i zimno p. Falkowski, który maluje w najdrobniejszych szczegółach pastelowym stylem bale, fety, uroczystości, nabożeństwa, całe *zewnętrzne* życie, nie zajrzawszy do głębi, do serca społecznego organizmu. I to jest kardynalną wadą jego *Obrazów*, że uwzględniają głównie bitwy i dyplomatyczne rokowania a dotykają dziejów wewnętrznych tylko z zewnętrznej strony. Z potoczystego opowiadania p. F. dowiesz się i o składzie magistratu, i o uchwałach instytucyi, i o czynnościach administracyjnych każdego ciała społecznego, ale nie poznasz żywego organizmu społecznego, jego ducha i dążności, bo autor szereguje wypadki bez powiązania ich ogniwami przyczyn i skutków, bez odniesienia poszczególnych faktów do ogólnej, syntetycznej całości. P. F. nie zdejmuje swoich obrazów z życia. Chociaż zapamiętał jeszcze te czasy, ale opiera się przeważnie na późniejszych opracowaniach, czerpiąc materyał z drugiej ręki. Głównem jego źródłem są, niestety—pamiętniki, krytycznie niezbadane a rzadko przez autora sprawdzane. W niektórych rozdziałach—np. „Ruch umysłowy w Warszawie w latach 1808—1812"—nie znajdziesz nic nowego, prócz oklepanych sądów o Koźmianie, Osińskim, o teatrze itp. Prawda, że ta część dziejów literatury leży zupełnie odłogiem, ale trzeba było zajrzeć do źródeł współczesnych, a obraz nabrałby oryginalnych i świeżych kolorów.

Na usprawiedliwienie autora należy i to podnieść, że pierwszy z nas wziął się do opracowania monograficznego tych dziejów naszego odrodzenia, że jakkolwiek brak mu krytycznego zmysłu, to przecież tu i owdzie prostuje mylne daty i fakty pamiętnikarzów, a nieraz i własne w poprzednich obrazach popełnione błędy. Wogóle oszczędza p. F. szlachtę i magnatów, ale czasem i jej się coś dostanie. I tak np. opowiada o ks. Dominikowej Radziwiłłowej, słynnej w swoim czasie piękności, iż „sponiewierała się później do tego stopnia, że w żadnym domu przyjąć jej już nie chciano, a drugi mąż jej, znany generał rosyjski Czerniszew, odepchnął ją i wyrobił sobie u cesarza Aleksandra, że jej zakazano nosić jego imię."

Pod względem ujęcia i przedstawienia przedmiotu trudno odmówić autorowi niepospolitych zdolności kompozycyjnych: opowiadanie p. F. jest żywe i zajmujące, styl może trochę rozwlekły, ale język czysty i barwny. Tu i owdzie można zauważyć brak organicznej całości, zdradzający się w luźnem nawiązaniu odrębnych myśli i epizodów (np. zwrotem „wróćmy do listów" albo „skończmy list przerwany") tudzież wypisywaniem długich ustępów z dzieł i pamiętników. W tak obszernej książce bywa powtarzanie się prawie nieuniknionem (przytaczam jako przykład kilkakrotne wytłómaczenie słowa: *moratorium*=zawieszenie wypłaty kapitałów zahipotekowanych).

Z.

TEATR FRANCUSKI.

Denise, sztuka w czterech aktach Aleksandra Dumasa syna.

Pierwsze przedstawienie każdego niemal utworu Dumasa jest wielkiem świętem scenicznem. Ostatni jego utwór nietylko nie jest słabszy od dawniejszych, ale nosi na sobie cechy pewnego postępu.

Akcya zawiązuje się pomiędzy ośmioma osobami, a raczej pomiędzy trzema rodzinami, do których należą: Hrabia (zawsze hrabia!) Andrzej de Bardannes i jego młoda siostra Marta; piękna jeszcze wdowa pani de Thauzette i jej syn Ferdynand; nareszcie familia Brissot, ojciec, matka i córka—wszyscy w służbie u Andrzeja.

Zmęczony hulaszczem życiem ów Andrzej wraca do swoich dóbr, aby odpocząć w zaciszu wiejskiem. Pani de Thauzette, jego dawna przyjaciółka, kochanka, a obecnie sąsiadka poleca mu Brissota, któremu też on oddaje cały zarząd majątku, żonie wyznacza gospodarstwo domowe, a pragnąc mieć przy sobie kogo z bliższych swemu sercu osób, sprowadza z klasztoru swą siostrę Martę, powierzając jej wychowanie młodej, ale dzielnej pannie Brissot.

Jesteśmy w pięknym salonie zamku hrabiego de Bardannes. Panna Brissot siedzi przy fortepianie i śpiewa aryę z *Mireille*, głosem tak pięknym, z uczuciem tak głębokiem, że wszyscy goście, którzy przyjechali z wizytą, wchodząc w tej chwili właśnie, zostają zachwyceni. Pomiędzy przybyłymi jest pani de Thauzette i jej syn Ferdynand a także p. Thouvenin, „wielki przedsiębiorca, wielki agronom, wielka fortuna i wielkie serce.“

Zupełną z nim sprzeczność stanowi młody Ferdynand, który już nie jest człowiekiem lekkim, ale po prostu łobuzem, czyhającym na kobiety i skompromitowanym w szacherkach karcianych.

Dla tego moralnego obrzydliwca pani Thauzette prosi Andrzeja o rękę jego siostry Marty. Hrabia odmawia sucho i stanowczo; wtedy stara kokietka zapomocą wspomnień młodości chce odzyskać władzę, jaką miała kiedyś nad młodym, dopiero co w świat wchodzącym człowiekiem, który tak jak wielu innych został ofiarą jej lekkich obyczajów. Wszystko to jednak nie poskutkowało, owszem, jeszcze bardziej potwierdziło pierwsze jego postanowienie. Zresztą zna on dobrze Ferdynanda i uważa go za nieuczciwego.

Ale dawna kokietka p. Thauzette jest matką i kocha Ferdynanda. Dotąd jej łapki były aksamitne, teraz wysuwa pazurki. Robi mu ona uwagę, że siostrę może wydać tylko za takiego człowieka, który zamknie oczy na jego stosunek—z nauczycielką. Jednocześnie wtrąca podejrzenie, że panna Brissot żyje w takim stosunku nie po raz pierwszy. Hrabia kocha nauczycielkę, ale uczciwie; rozniecona w nim zazdrość wywarła skutek — spotęgowała miłość. Z ust wszakże ojca nauczycielki dowiaduje się, że ona kochała dawniej Ferdynanda, że upór jego ojca przeszkodził małżeństwu, co Denise opłaciła bardzo ciężką chorobą.

Odkrycie to powoduje jeszcze większy niepokój w sercu hrabiego, który zwierza się przed p. Thouvenin, prosząc go o radę. „Trzeba się z nią ożenić“—odpowiada przemysłowiec.

Tymczasem Marta dla zyskania samodzielności zgadza się zostać żoną Ferdynanda, ale brat odsyła ją do klasztoru, aby tam pozostała aż do chwili owej pełnoletności. Hrabia, dręczony zazdrością, dowiaduje się ze wszystkich stron o stosunku między Ferdynandem i Denise. Zapytuje wreszcie jego samego, ale ten przeczy „pod słowem honoru.“

Uspokojony prosi o rękę Denise. Rodzice jej zgadzają się, potrzeba tylko zapytać jeszcze córkę. Tutaj następuje najświetniejsza scena dramatu, która jest stworzona i rozwinięta przez autora po mistrzowsku. Nauczycielka wyznaje naprzód, że żoną Andrzeja zostać nie może, a gdy się dowiaduje, że Ferdynand ma poślubić jego siostrę, krzyczy: „On! on! mężem Marty! on mężem pana siostry—nigdy! Jest to nikczemnik, a przysięgając, że nie był moim kochankiem, skłamał. Gdy tylko szło o mnie, mogłam milczeć, ale gdy idzie o pańską siostrę, muszę wyznać, że byłam jego kochanką.“

I wzburzona, głosem przerywanym od płaczu, opowiada historyę swego upadku. Miała ona dziecię, które umarło przedtem, nim go Ferdynand chciał zobaczyć. Cała ta opowieść rozdziera Andrzejowi serce.

Ojciec jej chcąc wiedzieć, co ona odpowie, słuchał pode drzwiami, a poznawszy straszną tajemnicę, wpada, krzycząc na córkę: „precz“ — potem zwróciwszy się do hrabiego, mówi: „Przepraszam pana, że wprowadziłem do jego domu takich jak my, ale o niczem nie wiedziałem.“

W tej chwili wchodzi Ferdynand, którego Brissot chwyta za gardło: „Ach, ty uwiodłeś moją córkę i zrobiłeś ją matką, nie poślubiwszy jej wcale, tyś ją trzymał w swych objęciach — wyrwijże się teraz z moich!“ „Ja się nie będę bronił — szepcze Ferdynand — pan mię udusisz!“ „To prawda — odpowiada Brissot, puszczając niegodziwca. Idź więc i powiedz swej matce, że ma godzinę czasu, aby prosiła o rękę mej córki dla ciebie—inaczej gdziekolwiek byś był, zabiję cię.“

P. Thauzette zdecydowała się; małżeństwo Ferdynanda z Denise jest postanowione; hrabia i Thouvenin będą świadkami.

Dwaj przyjaciele zostają sam na sam, hrabia chce wyzwać i zabić Ferdynanda. Thouvenin odwodzi go od tego szalonego czynu: „Pan, który tak uważasz na opinię, a w tej chwili tylko ta staje przeciw twemu sercu, pan pozwolisz powiedzieć wszystkim, że hrabia Bardannes zabił syna swej dawnej kochanki, bo ten był kochankiem jego nowej kochanki.“ (Co tu tych kochanek i dramatycznej pornografii!).

Hrabia słucha wszystkiego w milczeniu i widać, że to go wcale nie uspokoi, gdy Ferdynand zaślubi Denise. Jego siostra stanowi główną zawadę, którą jednak sama usuwa. Dowiedziawszy się bowiem od p. Thouvenin o rachubach matki Ferdynanda na jej posag i że Denise sama nie przystała na związek z jej bratem, aby ją uratować od małżeństwa z Ferdynandem, przeprasza swą nauczycielkę: „Omyliłyśmy się obie na tym samym kochanku; chodź ze mną do klasztoru, tam bowiem zdala od świata znajdziemy spokój i pocieszenie.“

Denise wychodzi... Hrabia nie może dłużej władać sobą, kieruje się więc ku niej wykrzyknąwszy: „Denise, ja nie mogę.“

W tej chwili zapowiadają przybycie gości na obiad.

„Otrzyjmy nasze łzy! — woła piękna Marta. Na deser zapowiemy im małżeństwo mojego brata?“

„A klasztor? — pyta Brissot.

— „Kiedy Denis zostanie zamężną!“

Tak słodkim tonem, niby promieniem słońca, zwiastującym koniec burzy, kończy się ta tragedya.

Teatr polski.

Występy p. Modrzejewskiej: *Marya Stuart, Nora, Odetta.*

„Najgorszy to, najtrudniejszy ten nasz zawód aktorski; zdaje ci się, że już niby wszystko potrafisz, a do samej śmierci uczysz się czegoś nowego“ — tak mówił do mnie niedawno osiwiały weteran i wielki praktyczny znawca sztuki aktorskiej.

Prawda ta stosuje się do talentów twórczych, tych zwłaszcza, co nie kostnieją w pewnej sumie formułek i środków, ale czerpiąc siłę z zasobów wiecznie płodnej pomysłowości, nie ustają w ciągłym przemiennym ruchu. Takim właśnie talentem jest Modrzejewska, która w trzecim powrocie do kraju okazała swój talent w kształtach nowych.

Krytycy nasi zaznaczyli już kilka różnych faz, przez jakie przechodziła jej twórczość, niedosyć trafnie jednak oceniają ich wartość w stosunku do sceny rodzimej. Dla mnie najpiękniejszymi kwiatami talentu artystki były w pierwszych latach jej pobytu na scenie role liryczne, w których umiała zakląć cały subtelny czar poetycznego idealizmu, wyssanego z arcydzieł literatury naszej. W takich rolach, jak Amelia (*Śluby panieńskie*), Cecylia (*Panna Mężatka*), Aniela (*Mazepa*), w *Maryi Stuart* (Słowackiego), oraz w paru innych Modrzejewska roztaczała urok niewysłowiony, umiała wydobyć tę słodką melancholię, tę głęboką rzewność i delikatność natury kobiecej, jaką można porównać tylko do powietrznej miękkości rzewnych poematów Słowackiego lub subtelnego marzyciela Chopina. Prawda, że w niektórych rolach, jak np. w Julii Szekspirowskiej albo Ludwice z *Intrygi i miłości*, za dużo było miękkiego sentymentalizmu, ale za to tamte postacie były arcydziełami sztuki wykonawczej a zarazem kwiatami poezyi, z których biła woń swojska, były płodami sztuki rodzimej, czerpiącej soki żywotne z naszego gruntu estetycznego i obyczajowego.

Na drugiej półkuli talent artystki zmężniał, powiększył swą sferę twórczą, ale zrazu zatracił dawny wdzięk rodzimy, stał się kosmopolitycznym, urósł w siłę, chociaż często sztuczną i robioną. Znać było w rolach dramatycznych, że artystka stara się o forsowne wydobycie tej energii, która nie leżała w naturze jej środków fizycznych, ani duchowych. Dopiero za zeszłego pobytu talent jej w innym kierunku wzbił się na wyżyny, a dzisiaj objawił się znowu w pełni swej duchowej siły, skupionej i spokojnej. Modrzejewska porzuciła teraz nadsztukowaną energię, ale umiała skojarzyć wrodzony sobie idealizm i estetyczność z wielkiem a szlachetnem poczuciem prawdy, zdobyć się na energię skupioną wewnętrznie i zachować wreszcie tę szerokość i szlachetność stylu aktorskiego, która ją czyni jedną z najcelniejszych przedstawicielek gry prawdziwie estetycznej i wytwornej. Wszystkie te przymioty dziś skupiają się w *Maryi Sztuart* Schillera, będącej najszczytniejszą rolą artystki, skończoną, posągowo piękną a jednocześnie drgającą pełnią głębokiego uczucia. Wierna poetycznemu idealizmowi, pani M. stwarza tu idealnie uroczą postać królowej męczennicy i chrześcianki, nie zapominając jednak o kobiecie z jej żywą wyobraźnią, uczuciem gorącem, z sercem, które czuje doznane krzywdy, i piersią zdolną do wybuchów oburzenia i gniewu pod wpływem podrażnionej miłości własnej. W postawie, ruchach i świetnem ukostiumowaniu, Modrzejewska uwydatniła swój niezrównany urok plastyczny, niemal każdy ruch, każda poza tej królowej tchnęła powagą majestatu, szlachetną dumą, która w uciśnieniu podnosi głowę i miażdży moralnie swych wrogów. Sławna scena spotkania z Elżbietą przeprowadzona była w misternem stopniowaniu, w doskonałem skupieniu namiętności. Gdy klękła ta królowa, czułeś, że naprawdę tylko przed wyższą mocą ugięły się jej dumne kolana; gdy spojrzała na zimne, okrutne oblicze swej tyrańskiej siostry, widziałeś, że w tej szlachetnej duszy buntuje się duma i godność monarsza, a gdy rzuciła w twarz obelgę Elżbiecie, gniew jej wrzał nie tą siłą zewnętrzną, hałaśliwą, ale prawdziwą, głęboką i przekonywającą.

Akt piąty, oddany z głębokiem skupieniem spokoju, boleści, rezygnacyi, bez cienia teatralnego patosu, z doskonałem jednak obmyśleniem i wydobyciem efektów, był godną koroną wspaniałej całości, którą najsurowszy sędzia do arcytworów sztuki wykonawczej zaliczyć musi.

Zmężnienie talentu artystki znać było także w *Maryi Gautier*, tj. *Damie kameliowej*, w której przeprowadziła pani M. w uszlachetnionych kształtach charakterystykę natury dobrej, lekkomyślnej, ale skażonej przez życie nieprawe. Ta pokutująca nierządnica drgała dziś gorętszem życiem,

aniżeli dawniej, była postacią piękną, pełną wdzięku, chociaż nie miała tej szalonej, porywającej prawdy, tej nerwowej gorączkowości, tego specyalnie francuskiego charakteru, jaki podziwialiśmy w mistrzowskiej grze Sary Bernhard, niedoścignionej w odtwarzaniu postaci współczesnego francuskiego dramatu.

W *Odecie* artystka grała prześlicznie, ale podług nas sama rola, traktowana przez autora melodramatycznie i szkicowo, niedawała pola do stworzenia żywej, pełnej i skończonej postaci. Dla publiczności jest to jedna z najulubieńszych ról artystki, ponieważ obfituje w łatwe efekty dzisiejszego mieszczańskiego dramatu, ale pomimo całego mistrzowstwa gry nie może się porównać ta kreacya z taką *Norą*, w której pani M. przedstawiła bogatą głębię psychicznego życia danej jednostki. Swoją drogą w Odecie pani M. wyłowiła starannie wszystkie rysy głębsze, urobiła tę kobietę z jakiejś mieszaniny instynktów niskich i poczucia towarzyskiej godności, zaznaczyła powolne obniżanie się i brukanie godności w upadku towarzyskim, a wreszcie rozrzewniła prawdą natężonego uczucia i cichą ofiarną rezygnacyą macierzyńskiego poświęcenia. *Nora* w prześlicznym dramacie Ibsena jest drugą najcelniejszą rolą Modrzejewskiej i wykazuje jej umiejętność szerokiej analizy charakterów, wnikania w głębokie pobudki czynów i uczuć ludzkich, które to przymioty już dawniej rozwinęła artystka w mistrzowsko granej roli Zofii z *Niewinnych* Okońskiego.

Nie mając miejsca w *Prawdzie* na obszerne studya o grze aktorskiej, powiem tylko, że jestto najmisterniej, najrozumniej i najpiękniej tkano przędziwo artystycznego odtwarzania charakteru. Nora jest kobietą żyjącą w atmosferze północnej, moralnie jednostronnie rozwiniętą w kierunku wdzięku i wesołości bezmyślnej na pokaz — ale pod wpływem ciosów życia obudzają się w niej głębsze poczucia godności człowieczej, zbyt nieposkromiona żądza samodzielności. Tę genezę wewnętrzną przeprowadziła Modrzejewska znakomicie, niezmiernie subtelnem odgadnięciem tajemnic natury kobiecej, z głębokością samowiednej refleksyi, która jednak ginęła w łudzącym, pełnym ciepła i ruchu kolorycie życiowej prawdy. Nora jest jedną z najżywszych, z najbardziej łudzących i ruchliwych postaci, jakie się spotyka na scenie, a pojedyncze momenty roli wywierają wstrząsające wrażenie, dzięki podniesionym przez świetną grę pomysłom utworu. W tej postaci artystka wzniosła się bardzo szybko w kierunku estetycznego realizmu, ponieważ odgadła, stworzyła i oddała w łudzącej formie ruchu złożoną wielość psychicznego organizmu, ponieważ jej dzieło lśniło bogactwem skojarzonych ze sobą cech i przymiotów i miało ten urok podniesionego przez piękno życia, jakiem przyroda krasi swe arcytwórcy.

S. K.

LIBERUM VETO.

Okrutna konieczność życia. — Nigdy. — Jest nam wesoło. — Uczty na cześć Fortuny. — Wieczorki wełniane. — Ich korzyść. — Taniość i sława. — Moje „nigdy." — Szczęśliwi głusi i ociemniali. — Trzy tysiące tancerzy. — Rehabilitacya J. Kochanowskiego w katolicyzmie—i pozytywistów warszawskich. — List pasterski. — Trzy warunki i jeden przykład.

Głębokim może być smutek człowieka, który musi sobie powiedzieć:

— Mój Boże, ja już *nigdy* nie będę jadł bobu!

„Nigdy" bowiem jest jedną z najokrutniejszych konieczności życia ludzkiego, które posiada bardzo rozległą skalę pragnień: ktoś boleje nad tem, że *nigdy* już nie zobaczy swego kraju lub żony, a ktoś inny nad tem, że *nigdy* nie będzie jadł bobu lub ogórków. Otóż najzupełniej pojmuję cierpienie wszystkich kulawych wielbicieli tańca, a zwłaszcza tych, co w mazurze łamią sobie nogi. Tegoroczny „wełniany" karnawał, którego ochoczość dziwnie potęgują rozmaite zmiany w warunkach naszego życia ogólnego, narobił wielu kulawych. Jest nam wesoło, a będzie coraz weselej, mamy dostatek, a będziemy mieli coraz większy, ani jednej chmurki na naszem niebie, ani jeden grom oddawna nie spadł — jak tu się nie bawić i nie płacić miłych grzywien na „wieczorkach wełnianych" za przekroczenie skromności toalety lub opóźnienie się! Wart byłby pręgierza ten, ktoby chciał w zapusty posypywać głowy popiołem, zalecać włosienice, lub tylko zawołać: panowie i panie, przerwijcie na chwilę mazura i posłuchajcie, co mówi... filozof Hartmann! Nie, ja tego nie zrobię, bo zbyt szanuję „tradycyę," która przypomina, że pod koniec wieku XVIII nasze prababki tańczyły głęboko obnażone u góry i dołu, ukazując nietylko swe wdzięki, ale i pierścionki na palcach — nóg. A przecież czasy były smutniejsze. Precz więc z morałem! „Tańcujmy, całujmy—jak tłomaczył nieboszczyk Odyniec— a figa..." losowi, zwłaszcza, że karnawał krótki. Sypią się też bale na cześć Fortuny, która tak szczodrze obdarza nas swemi łaskami: artystyczne, malarskie, drukarskie, wioślarskie, dobroczynne — a przed innymi najdowcipniejsze „wełniane." Jest to jeden z najlepszych wynalazków naszego geniuszu karnawałowego. Naprzód kosztuje tanio. Powtóre, oprócz uciechy, zapewnia sławę: każdy, kto urządzi zabawę „wełnianą," bywa nazajutrz uczczony w *Kuryerach* uroczystą fanfarą i przedstawiony światu jako wzór do naśladowania, ze szczegółowym rachunkiem, ile goście zapłacili kopiejek na biednych za przeciągnięcie tańców po za naznaczoną porę, a ile pani lub panna X. za zbytkowną suknię. Potrzecie wynalazek ten uwydatnia owe zbytkowne suknie, o co kobietom bardzo chodzi. Jak to przykro przyszyć gdzieś koronkę i nie wiedzieć, czy ona zwróciła uwagę. Tymczasem przy obecnym regulaminie już nie szepcze pojedynczy wielbiciel, ale całe grono gości otacza „winną," bada jej toaletę a znalazłszy koronkę, wyrokuje: panna lub pani X. za tę ozdobę zapłaci 5 kopiejek. Ach, 5 kopiejek za zwrócenie uwagi na koronkę, aksamitny kaftanik, brylantową broszkę — jakże to tanio, zwłaszcza gdy do korzyści prywatnej doliczymy publiczną z opisu w *Kuryerze*, który dodaje, że p. X. w tej koronce, kaftaniku i broszce wyglądała prześlicznie! Pięć kopiejek za tyle rozgłosu—w Warszawie woda jest droższą. Nic też dziwnego, że na „wieczorki wełniane" coraz częściej przybywają panie w toaletach oclonych grzywnami, a goście chętnie przeciągają zabawę do rana.

Wobec tak pięknie przebiegającego karnawału, wobec tak zachęcających i przyjaznych warunków, pojmujecie chyba boleść kulawych i często moje westchnienia nad tem, że już *nigdy* tańczyć nie będę. *Nigdy!* — bo jakkolwiek nogi mam całe i zdrowe, a kiedyś uczono je nawet kręcić się na posadzce, od pewnego czasu przy dźwiękach walca lub mazura chwyta je natychmiast paraliż, idący bądź od głowy, bądź od serca. Wtedy zazdroszczę głuchoniemym i ociemniałym. Niemym w pewnej mierze już jestem, ale głuchym i ociemniałym ani odrobinę. A jednakże gdyby to kalectwa spadły na mnie—dopiero bym tańczył zawzięcie, codzień, do rana! Wówczas życie byłoby dla mnie jednym wielkim karnawałem, bo zamknęłoby mi dwa najważniejsze zmysły, przez które przechodzi paraliż. Niestety, wcale się na to nie zanosi. Będę widział, będę słyszał, czyli— nie będę nigdy tańczył. O roskoszne „wieczorki wełniane!"

Pragnienie to odczuwa niewątpliwie i ów trzytysiączny legion, który szukał a nie otrzymał miejsce przy świeżo otwartej kolei iwangrodzko-dąbrowskiej. Jakie pyszne dałyby się z tylu szczęśliwców utworzyć figury! Będzie to nawet źle świadczyć o naszym talencie muzykalnym, jeśli repertoaru karnawałowego nie zbogacimy nowym, czysto swojskim tańcem, któryby można nazwać: *marzenia kolejowe.* Życie rozdało tak karty, że nie mamy w ręku atutów, które biją nam każdą lewę. Filozofowie, astronomowie, filolodzy, przyrodnicy, cały wreszcie tłum ludzi bez specyalnego wykształcenia, bankrutów, zawiedzionych,—wszystko to czepia się deski kolejowej, która tylu rozbitków unieść nie może. Droga iwangrodzko-dąbrowska odmówiła trzem tysiącom próśb. A to dopiero jedna wymowna cyfra pomyślności, jeden przybór do... kotyliona.

W chwilach czarnych lubię niezmiernie czytać dzieła księdza A. Brykczyńskiego— w *Wieku*. Szan. autor ogłosił tamże nowe, w którem usiłuje dowieść, że Jan Kochanowski był katolikiem i „nie przechylał się do reformacyi," jak utrzymują niektórzy jego biografowie. Jeżeli to przydatnem być może duszy śpiewaka czarnolaskiego i wpłynąć na jej zbawienie, godziło się, ażeby ks. Brykczyński tę sprawę podjął i niesłusznie podejrzanego obronił. Po za tą wszakże potrzebą trud jego jest zmarnowany, gdyż dla literatury nie ulega wątpliwości, że Kochanowski był katolikiem i że „do reformacyi się przychylał." Bo rzeczywiście, „cóż w tem dziwnego, że w dziełach Kochanowskiego odbija się walka reformacyi," że „powstawał na duchowieństwo," ale... te wszystkie rzeczy „niedziwne," we *Fraszkach* zwłaszcza uwydatnione, zdradzają „przechylanie się" ku tej stronie, na której leży herezya. Jeżeli zaś nie—to bardzo proszę ks. Brykczyńskiego, ażeby nie odmawiał tytułu katolików i „pozytywistom warszawskim" (daruj mi czytelniku tę legendową nazwę, którą język kumoszek dziennikarskich stosuje do wszystkich bez różnicy niekonserwatystów). Bo i oni nie wołają: zamknijcie katolicy swoje kościoły i zacznijcie modlić się w innych.—tylko czasem „powstają na duchowieństwo," które chyba liczy dosyć pasterzy, strzygących i gubiących swe owce. Dzięka to—według ks. Brykczyńskiego—myśl, „aby kościół i duchowieństwo było nieustającym cudem świątobliwości;" rzeczywiście, ale gdybym był żołną, zjadającą pszczoły, to bym nie łajał pasieczników, którzy ich strzegą. Gdybym zaś był biskupem, rozesłałbym do podwładnych taki list pasterski: nie bądźcie samolubni, nie nauczajcie tego, czego sami nie robicie, i nie potępiajcie tego, czego dokładnie nie pojmujecie. Objaśniając zaś żądanie swoje dowodami, przytoczyłbym: np. ks. Brykczyński, kapłan świętobliwy, o religię dbały, ale słaby w definicyach naukowych pisze: „postęp w znaczeniu filologicznem (?) tego wyrazu jest rozwojem pewnej idei (tylko!) w jej właściwych granicach, *więc zamianą jednej rzeczy na inną.*" To mili bracia jest *absurdum*, którego unikać należy. Zresztą błogosławię was i jeszcze raz sercu waszemu polecam staranie, ażeby wierni nie sprzedawali dyablu duszy w karnawale.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Obrachunek kosztów produkcyi rolnej. — Pięta achilesowa. — Kilka kropel wódki. — Sąd według surowego kodeksu. — Fatalizm. — Dwie biedy. — Gubernie południowo-zachodnie zabierające się po niewczasie do wywozu mąki. — Pole morderstw. — Sponiewierana etyka.

Obrachunek kosztów produkcyi rolnej, o którym wspomniałem poprzednio, stanowi nową fazę rachunkowych usiłowań ziemiańskich. Ten i ów wypisuje ze swych ksiąg gospodarczych przeciętne cyfry i przesyła je do prenumerowanego dziennika, poprawiając innych. „Każdemu—powiada korespondent *Wieku*—kto zna nasze gospodarstwa rolne, wiadomem jest, iż piętą achilesową rolników jest rachunkowość gospodarska. Znamy gospodarstwa, odznaczające się wzorową uprawą gruntu, racyonalnem żywieniem i hodowlą inwentarza, wogóle gospodarstwa w całem tego słowa znaczeniu porządne, któremi zachwycać się można—byle... nie rewidować kancelaryi i nie przeglądać ksiąg gospodarskich.“ Naturalnie ta „pięta achilesowa,“ ta kancelarya ziemiańska zbyt obfitego materyału statystycznego dostarczyć nie może. Zwykle nie posiada żadnych ścisłych i dłuższe terminy obejmujących wyliczeń, ale jest garstką świeżo, pod naciskiem biedy zanotowanych cyfr, które szali sądów na żadną stronę nie przeważają i nie pozwalają wyprowadzić ogólniejszych wniosków. Jednemu korzec pszenicy wypada po 5 rs., drugiemu po 4, trzeciemu inaczej—a z tych dorywczych meldunków powstaje chaos, który raczej jest wyrazem moralnego niepokoju, niż stanu ekonomicznego. Osaczony ze wszystkich stron „szlachcic“ traci czasem głowę i lamentuje wprost zabawnie. Dawniej — skarży się ktoś w tejże gazecie—chłop odprowadzał pijanego ojca do domu; dziś sam z nim pije w karczmie; dawniej, wziąwszy kieliszek do ręki, prawił jakąś mowę, przy której nieco wódki wylewał; dziś jedna kropla na marne nie pójdzie. Powód do głębokiego smutku niewielki, bo czy chłop wypije cały kieliszek wódki, czy „przy oracyi“ trochę wyleje — to go nie gubi w pierwszym i nie ratuje w drugim wypadku.

Trudno wszakże zaprzeczyć — a to objawy podkreślamy zawsze — że ziemianie nasi coraz bardziej otrzeźwiają się i sądzą według tego kodeksu, który tak niedawno jeszcze zniesławiali, gdy ich według niego oceniały pisma postępowe. „Przynać należy—powiada w *Gazecie warszawskiej* p. A. Jelski—iż pomimo najsmutniejszych, ciągle powtarzających się przykładów upadłości fortun ziemiańskich, natura nasza, znarowiona tradycyą używania i panowania, niełatwo daje się reformować i chroniczne niedołęstwo coraz więcej daje ofiar ze szkodą nietylko ich samych, lecz i kraju. Dziś zasoby doświadczenia są już wielkie, przeszłość cała dla myśliciela jasnym jest powodem teraźniejszości, jeżeli nie wróżbą prawie pewną smutnej przyszłości. Dla czegoż więc wola szlachetna nie złamie dziedzicznych nałogów w imię dobrze zrozumianego interesu i obowiązku wobec swojego społeczeństwa? Znaliśmy ziemian stopniowo niknących na ojczystym zagonie przez dziwne niedbalstwo w interesach majątkowych, i wtedy dopiero wstąpiła w nich jakaś energia, gdy, wyprawieni z progów rodzinnych, musieli ciężko zdobywać chleb powszedni na stanowisku służalczem... Co za fatalizm zaprawdę zawisł nad głowami naszemi, że też do ostatka rodowity ziemianin mało co jest zdolny ustąpić z przesądu państwa swego! Setki pozostałyby ich przy ziemi ojców, gdyby wcześnie umieli zmienić tryb życia, wziąć się do pracy osobiście, bez pośredników... Potrzeba im było aż zginąć na stanowisku ziemiańskiem i dopiero w innej roli ocknąć się do czynu. Bardzo pouczającem jest to zjawisko lenistwa i życia niepomiernego do środków w obywatelstwie dziedzicznem. Tradycya fatalna sięga zamierzchłych czasów; lecz pora, pora już wielka zrzucić z siebie jarzmo słabości lub fałszywego wstydu przez wzgląd na byt swój i przyszłych pokoleń. Wszyscy krzyczą na brak sług i oficyalistów, a czemuż ich przykładem swym nie ukształcą dla nowego porządku rzeczy?

Dawniej groza poddaństwa była motorem, dziś zaś jedynie własną pracą wszystko lepsze zdobywać sobie w stanie jesteśmy. Dawny system rozpadał się w gruzy i napróżno chciano by coś dodawać z tego materyału przeżytego... Nowy gmach można wznieść tylko całkiem na nowo, ale o materyał świeży musimy mieć osobiste starania, bo nikt nam zgoła w pomoc nie przyjdzie... Czemużby, pytam, dziedzic jednego folwarku nie miał sam absolutnie wypełniać funkcyi ekonoma? pani obowiązku ochmistrzyni? panienki, po kolei, panny służącej? itd. Jakażby to oszczędność wtedy zapanowała w gospodarstwie! Któż bowiem tak pilnie może go dopatrzyć, jak sam właściciel? Co za przykład budujący byłby dla domowników, gdyby widzieli od rana do wieczora rzeczywisty udział swych gospodarzy w pracy specyalnej! jakby to ich kształciło i wzbudzało w nich szacunek dla pryncypałów, przodujących wszystkiemu!“ P. Jelski jest ziemianinem, a nie współpracownikiem pism „obywatelstwu wrogich“ — a jednak rzecz dziwna, mówi niemal dosłownie to, co w *Prawdzie* wielokrotnie powtarzaliśmy. Tak, sama szlachta przyznaje, że ją gnębi niezłomny „fatalizm!“

Znaki tego fatalizmu występują na każdym kroku. Odwiedźcie dwory i zobaczcie, jak w nich wygląda nawet ta zmora ekonomiczna, która je obecnie najbardziej trapi? Znajdziecie ludzi rozsądnych, którzy widzą klęskę w całym jej rozmiarze, większość jednak na zastój w handlu zbożowym, na upadek cen patrzy, jak na stratę przemijającą—na grad, wojnę, manewr giełdowy lub coś podobnego. Grad przestanie spadać lub wojna się skończy—i będzie lepiej. Przed dwór wołyńskiego korespondenta *Wieku* „zajechały dwie biedy“—i oto zaraz „cały dom się ożywił,“ bo na tych biedach siedzieli agenci zbożowi. Ponieważ „żydki“ zaczęli się biedkami włóczyć od dworku do dworku, to bądź co bądź świadczy, że ruch zbożowy zaczyna się ożywiać. O dolo, nasza dolo z dwoma biedami, jedną, którą świat nam stwarza, i drugą, którą sami sobie stwarzamy! Dość dwu żydków do nadziei, że stosunki ekonomiczne Europy zmienią się i że znowu będziemy sprzedawali po 16 rubli „parę.“ Biedni i—naiwni!

A gdy mądrzy—to zwykle... po szkodzie. We wszystkich dziennikach czytamy obwieszczenie: „Według danych urzędowych dowóz mąki do Królestwa ma wynosić 6 milionów pudów rocznie, przeważnie z Jelca, Tambowa, Saratowa i innych miast *odleglejszych* Cesarstwa. Ponieważ w transporcie tym gubernie południowo-zachodnie *nie biorą dziś udziału* i ponieważ producenci miejscowi, głównie zaś z okolic Zdołbunowa i Koziatyna, złożyli ofertę, zapewniającą do 2 milionów pudów mąki na wywóz do Królestwa, przeto zarząd wspomnianych kolej zamierza przyjść w pomoc producentom mąki przez obniżenie taryfy.“

Od pewnego czasu gubernie graniczące z Królestwem dostarczają obficie zbrodni. Najcięższe morderstwa tam są spełniane. Znowu z Mińska gubernialnego donoszą o zabiciu w hotelu kupca przez młodego telegrafistę, który zabrawszy swej ofierze 4000 rs., uciekł, ale wkrótce został złapany. Niedaleko miasteczka Kiemieliszek (gub. wileńska) syn zamordował ojca, leśniczego, który przez dumę szlachecką nie pozwalał mu żenić się z chłopką. Chociaż często słyszymy i czytamy morały, ściśle biorąc, moralność bardzo mało kogo dziś obchodzi, niema ona należytej opieki i uprawy. Dziś chodzi o inne cele — a że tam podczas pogoni za tymi celami ludzie mordują się, okradają — to pozostawiono policyi, sędziom śledczym i kryminałom. Widać, że ten okres nie jest panowaniem etyki, którą sponiewierano, pozbawiono praw i dostojeństw.

A. C.

Kielce. *Gazeta* miejscowa pisze:

„Od dni kilku urządza w naszym teatrze przedstawienia trupa aktorów żydowskich. Teatr żydowski i w żargonie żydowskim poruszył najtwardszych ortodoksów, i cały tłum chałatowych spektatorów obsiadł ławy amfiteatru, z ciekawością przysłuchując się dźwiękom łamanej z niemiecka, rumuńska i małorosyjska mowy. I stał się fakt niezwykły. Ten tłum, głuchy na wszelkie nawoływania, gdy nieraz narodowa bankrutowała scena i aktorowie ostatni tużurek zastawiali u „prawowiernych,“ nie znalazł złotówki ofiarnej dla podtrzymania biednych parysów, przemawiających słodkimi dźwięki rodzinnej mowy, dziś po kilkaset wysyła osób na teatr żargonowy, którego się wykształcony żyd wypiera i wstydzi. Świętą jest dla każdego tradycya ojczystego języka, patryotycznych myśli, dążeń i popędów, lecz cóż wspólnego z żydem polskim ma klejonka obcych mu języków? Oderwana cząstka trupy żydowskiej, uszczęśliwiająca obecnie Kielce, ubogą jest w talenty i wszelkie teatralne przynależytości. Grywa operetki i dramaty, o treści nader pierwotnej i niewytrzymującej najlżejszej, jako płody sztuki, krytyki, a zaciekawić może bardzo niewybredną publiczność. Wprawdzie chór jest dość dobrany i wyrobiony, a sola dość czyste, lecz brak im wykończenia i rutyny scenicznej. Primadonna ma czarne jak węgiel oczy, takież włosy, rozporządza nieuczonym, lecz dźwięcznym głosikiem, i mogłaby uchodzić za przystojną, gdyby nie szpecący ją brak. . zęba.“

Kijów. Dnia 26 b. m. po nabożeństwie w kaplicy uniwersyteckiej, w obecności kuratora okręgu, rektora, profesorów i studentów, otwartym został uniwersytet. Kurator zwrócił się do studentów z przemową, w której wyraził ubolewanie z powodu godnych pożałowania wypadków, jakie wywołały wiadome rozporządzenie rządowe, oraz nadzieję, iż w świątyni pokoju i nauki ludzie nauki zajmować się będą odtąd wyłącznie jej interesami.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 29 stycznia.

Zamachy i morderstwa, mściwe czyny dynamitu i sztyletu, oraz przedsiębrane przeciwko nim środki zapobiegawcze lub odwetowe zapanowały w tej chwili nad wszelkiemi konferencyami, wyprawami itd. Największą uwagę zwróciła konwencya rosyjsko-pruska, której osnowę podajemy na innem miejscu. Część prasy rosyjskiej wyraża nadzieję, że do tego związku przystąpią inne państwa; jakkolwiek jest to prawdopodobnem, w każdym razie już dziś wskazać można wyjątki. Najenergiczniej zaprotestowały dzienniki węgierskie — co znaczy, że Austrya, zależna od podstawy węgrów, albo nie przystąpi do układu rosyjsko-pruskiego, albo na innych warunkach. O Francyi Anglii niema co mówić, Włochy również są wątpliwe, a nawet Niemcy południowe odzywają się przekornie.

Po za tym ruchem wydatniejsze miejsce zajęły wypadki z pola bitew. Pod Abukleą

gen. Stewart napadnięty został przez powstańców w przeważającej liczbie i omal nie rozbity (późniejsze wieści donoszą, że jego oddział uległ zupełnej zagładzie). Chociaż atak odparto i nieprzyjaciel poniósł znaczne straty, położenie wodza angielskiego, otoczonego zewsząd, stało się bardzo ciężkiem i wymagającem ratunku, z którym Wolseley pospieszyć nie może.

Francuzi ponieśli malutką klęskę na wyspie Formozie. Jest to jeszcze jeden dowód, że z dotychczasowemi siłami wojny nie zakończą i że potrzebują wzmocnić je znacznie. Natomiast zwyciężyli... w kraju. Przy wyborach do senatu partya republikańska zyskała 22 miejsc nowych, tak że monarchiści stanowią już w nim mniejszość bardzo drobną. Między innymi z tego zastępu przepadli ks. Broglie i Fourtou.

Włochy istotnie myślą zatykać swą flagę, gdzie jeszcze ją zatkać można. Zajęły Beilul (nad morzem Czerwonem) i okolicę, wkrótce mają opanować inne punkty, a nawet współdziałać z Anglią. Bo cóż innego znaczy telegram rzymski z 26 b. m., że „w skutek wiadomości o zamierzonem przez Turcyę wysłaniu garnizonów do Egiptu i Sudanu, eskadra włoska otrzymała rozkaz przecięcia drogi tureckim statkom transportowym?“

Podobno rząd Stanów Zjednoczonych ma wnieść projekt do prawa przeciwko świadomemu udziałowi w przewozie i dostawie materyi wybuchowych dla celów zbrodniczych.

CUDZE GŁOSY.

K. Jarochowski, znany historyk, zamieścił w niemieckiej *Germanii* list do E. Hartmanna. Z listu tego podajemy ważniejsze ustępy.

„Artykuły pańskie czytaliśmy wszyscy z niepomiernem zmartwieniem. Pozwól pan jednak powiedzieć sobie, że uczucie to odnosiło się przedewszystkiem nie do nas samych, boleśnie przez pana dotkniętych i przeznaczonych na zagładę, ale przedewszystkiem do owej „filozofii,“ która dziś, w wieku wysokiej oświaty, nie poczuwa się do wstydu i hańby, wypowiadając zagładową walkę cywilizowanemu narodowi.

Będzie to niezawodnie dla przyszłego historyka niemieckiej filozofii ciężkiem i bolesnem zadaniem, gdy przyjdzie mu zaznaczyć, że po takich ludziach, jak Kant i Fichte, nawet po takich, jak Hegel, Schelling i Schopenhauer, znalazł się w ostatnich chwilach XIX stulecia filozof, który, jako wzór cywilizacyjnego działania, postawił ziomkom swoim tępienie sąsiedniego narodu.

Być może jesteśmy optymistami; dla niemieckiej jednak nauki i niemieckiego narodu zbyt wiele wyznajemy szacunku, aby uwierzyć, że to, co pan napisałeś, jest ostatnim wyrazem niemieckiej filozofii, a tem bardziej rzetelnem uczuciem dla nas niemieckiego ogółu.

Jakkolwiek w porównaniu z niemcami zarzucają nam cywilizacyjną niższość, to przecież, jako ludzie i chrześcianie, nie bylibyśmy zdolni postawić przeciw żadnej narodowości na świecie teoryi, przypominających najciemniejsze dzieje pogaństwa i biblijnego żydowstwa.

Gdy na całej przestrzeni, którą zamieszkiwała skazana dziś przez pana na zagładę ludność, wieki całe trwały i kwitły niemieckie kolonie i miasta, rządzące się magdeburskiem prawem, bez doznawania ze strony tuziemców i rządu najdrobniejszych, nie już szykan, ale przykrości; to przyznać nam trzeba, ze względu na te niezbite fakty, że my, *upośledzeni* przez kulturę, hołdowaliśmy przecież zgoła innym zasadom, niż ci, którzy się dziś za *wybrańców* kultury głoszą, a rządowi swemu i opinii publicznej w imieniu filozofii ohydę zalecają.

Rzuć pan drobiazgi, a poleć lepiej rządowi i opinii publicznej cofnąć historyę ludzkości ze wszystkiemi jej zdobyczami i pojęciami w epokę „poskramiaczy słowian,“ w epokę Gunzelina i Henryka Lwa. Przemaż pan jednym zamachem pióra dziesięć wieków, a potem do dzieła! Ale czyż naród pański chce tego? Czyż chcieć może? Lecz gdyby nawet zalecany przez pana system „wykorzeniający“ zastosowany został, to i tak przed czasem tryumfować nie należy! To, co w ciężkich próbach zahartowane zostało, zbyt łatwo wykorzenić się nie da, posiada bowiem wytrwałość i żywotność.

Gdy pańska filozofia, zbłąkawszy się na polityczne manowce, wprowadza do dzisiejszych pojęć starożytne barbaryzmy, to pozwolisz pan, że uważać je musimy istotnie za zupełnie „nieświadomą“ tego, co uczy.“

Mommsen, słynny historyk, wielokrotnie za „obrazę“ po sądach ciągany przez Bismarka, zamieścił w *Nation* replikę, odmawiającą kanclerzowi słuszności powoływania się na jego *Historyę rzymską*, która ma niby popierać obecną politykę celną Niemiec.

„Kiedy niegodziwi demagodzy niemieccy do tego dojdą, by robotnikowi berlińskiemu zboże darmo rozdawać, i kiedy równie niegodziwi niemieccy kapitaliści zdobędą potrzebną ilość wysp wraz z odpowiednią masą niewolników, by tam takie zaprowadzić rolnictwo, o jakiem słyszeliśmy na ławach szkolnych z mów Cicerona przeciw Verresowi, wtedy dopiero wzrośnie liczba tych, którzy cło od zboża powitają z radością. Jednak nim takie nienaturalne przekształcenie stosunków nastąpi, tymczasem ci, którzy ziemi nie posiadają, czy się zajmują historyą, czy też nie, nie przestaną właśnie w zaprowadzeniu ceł upatrywać owo nienaturalne przekształcenie stosunków.

Analogie historyczne są miłą igraszką, która jednak na tem polega, iż warunki jednego lub obu zestawionych faktów nie dadzą się rozpoznać z zupełną dokładnością. Jeżeli gdzie, to właśnie na polu gospodarstwa rolnego grube zewnętrzne paralele przydają się chyba tylko na to, by nieświadomych bałamucić. Starożytne latifundya, jak jeszcze dzisiaj lombardzkie, były to zbiorowiska drobnych gospodarstw, należące jako własność do jednego, a latifundya na Pomorzu i w Prusiech, administrowane jako całości jednolite, są mniej więcej tak do tamtych podobne, jak scyzoryk do buta, a mimo to nie ma nic zwyklejszego, jak operowanie niemi, niby wielkościami jednego rodzaju. Jeżeli historya jest na to, jak się zdaje, aby głupi jej nie rozumieli, a przebiegli jej nadużywali, to w tym wypadku spełniła swoje przeznaczenie.“

PRASA ROSYJSKA.

Nowoje Wremia pisze:

„Administracyjne połączenie gubernii Królestwa Polskiego z resztą Rosyi robi coraz nowe postępy. W roku zeszłym, jak wiadomo, rozciągnięto na ten kraj działalność ogólnej ustawy stemplowej—zwinięto czasową komisyę do spraw włościańskich w guberniach Królestwa i wskazano porządek dalszego kierownictwa urządzeniem tamecznych włościan, powierzonego osobnemu wydziałowi departamentu ziemskiego w ministeryum spraw wewnętrznych. Zapowiedziane w tymże roku zreformowanie instytucyj finansowych Królestwa, nad czem w minorowym tonie debatowały zagraniczne polskie gazety, urzeczywistniło się przez ogłoszenie w tych dniach rozporządzenia rządowego, zawierającego w sobie także ważną nowinę, dotyczącą administrowania majątkami skarbowymi (a głównie lasami) w guberniach Królestwa Polskiego. Powstaną trzy zarządy dóbr państwa ze zreformowanych okręgowych zarządów leśnych, a zawiadujących tego rodzaju interesami, które w r. 1869-ym powierzone były czasowym oddziałom tamecznych izb skarbowych; sprawy, dotyczące majątków skarbu wszelkich nazw, a w tej liczbie i dóbr majorackich, które kiedyś wywołały tyle rozpraw w prasie, przechodzą do ministeryum dóbr państwa. Zarządowi finansowemu pozostają tylko szczegółowo w prawie wskazane przedmioty, mające bezpośredni związek z dochodami skarbu, sprzedaż trunków na gruntach włościańskich w dobrach skarbowych i pensye emerytalne. Specyalny oddział finansów Królestwa Polskiego zostaje zwinięty. Taki rozdział wprowadza do miejscowej administracyi więcej jedności z ogólnym ustrojem rzeczonych instytucyj wewnątrz Cesarstwa. Utworzenie zarządów dóbr państwa, z wyłączeniem przedmiotów ich działalności z pod izb skarbowych, przypomina zastosowany jeszcze w roku zeszłym podobny środek w zachodniej Syberyi. Przez to wskazuje się poniekąd, że odtąd znikł wszelki cień obywatelskiej odrębności kraju Przywiślańskiego. Centralne zarządy finansów, spraw wewnętrznych i dóbr państwa, przejmują na siebie odnośne interesy tego kraju, tak samo jak i wszystkich innych gubernij rosyjskich. Roztrząsane rozporządzenie ma w szczególności niemałą wagę ze względu na zaprowadzenie wszechstronniejszej kontroli nad olbrzymimi tamecznymi lasami, stanowiącymi najgłówniejszy i najcenniejszy majątek skarbu. Pomocnik naczelnika w każdym zarządzie będzie zarazem zarządzającym wydziałem leśnym. Być może, że i sami naczelnicy będą leśnikami, czego częste przykłady dają się widzieć w wewnętrznych guberniach. Tym sposobem, z korzyścią dla sprawy, powiększy się w kraju liczba wykształconych specyalistów.

Służba leśna — prawidłowo czy nie — jak mówiono, przez czas jakiś kompletowała się z ludzi polskiego pochodzenia, nieznajdujących dla siebie posad w innych, mniej specyalnych dykasteryach. Wiadomości techniczne są jednakowo cenne bez względu na to, do jakiej narodowości należy ten, kto je posiada. Ale przy obecnem znacznem pomnożeniu składu osobistego władz leśnych w Królestwie Polskiem wolno jest życzyć sobie, aby polaków specyalistów równoważono tam rosyanami, tem więcej, że oni sami zapewne znajdą pole do zużytkowania swojej wiedzy we wschodnich guberniach Cesarstwa.“

Moskows. Wiedomosti piszą:

„Wypieranie rosyjskiej prawosławnej narodowości z kraju północno-zachodniego dokonywa się ze zdumiewającą konsekwencyą. Żywioł polski wypiera ją nietylko stamtąd, gdzie ma przewagę, ale nawet i stamtąd, gdzie jest prawie niezmieszana ludność prawosławna. Wśród zwartej ludności prawosławnej polacy osiedlają się *teraz* energicznie w charakterze właścicieli niewielkich przestrzeni. Tak np. w południowej części gub. grodzieńskiej, jak donoszą *Litowskija wiedomosti*, w ostatnich czasach zjawiło się wiele przez nich urządzonych folwarków i folwarczków, a przytem w liczbie właścicieli takich folwarków są nawet polacy z za Buga. Polacy urządzają folwarki i folwarczki na gruntach, nabytych rozmaitymi sposobami od miejscowych obywateli lub włościan. Z czasem wszyscy ci posiadacze folwarków polacy będą posiadali niewątpliwie wielki wpływ na otaczającą ich ludność prawosławną, zwłaszcza jeżeli i tam wprowadzone będą nasze tak zwane instytucye ziemskie. Jedyną nadzieję pokładają *Litowsk. wiedom.* tylko na naczelniku kraju, który gorąco wziął do serca rosyjskie interesy i zamierza ścigać nadużycia katolików, zachęcanych przez swoich księży.“

Nowoje Wremia, pisze:

„Jeżeli odpowiedni duchowi nowych przepisów i dobrzy znajdą się na miejscu wykonawcy; jeżeli do przeważającego ujemnego charakteru tych przepisów dołączy się coś dodatniego, coś w rodzaju środków ku wzmocnieniu np. właściwej posiadłości ziemskiej rosyjskiej włościańskiej w kraju, wówczas wpływ polski tam będzie rdzennie podkopany. W razie przeciwnym — nawet wobec przepisów nowych niepodobna uważać sprawy za ukończoną. Kto bacznie śledził wiadomości z kraju zachodniego, chociażby w drugiej połowie siódmego lat dziesiątka stulecia bieżącego, t. j. zaraz po wydaniu praw zasadniczego, ustanawiającego posiadłość ziemską rosyjską, ten wie, że w pewnych razach wynurzały się wątpliwości, kogo mianowicie brać należy za osoby pochodzenia polskiego względnie do posiadłości ziemskiej: czy uważać za takie osoby samych tylko katolików? Alež

wówczas wymkną się z pod prawa osoby wyznania luterańskiego, noszące niemieckie nazwiska, lecz bezwątpienia ducha polskiego w sobie żywiące — przedstawiciell warstw takich ostatnie też powstanie widziało Nie można odmówić słuszności opinii, że do osób pochodzenia polskiego zaliczać należy wszystkich tych, co posługują się zwykle mową polską, od jakichkolwiekbądź przodków się wywodzą i jakąkolwiek religię wyznają. Drugim hamulcem są wyjątki, na jakie wprzód przyzwalano za osobnem zgodzeniem się władzy na rzecz niektórych magnatów (np. Radziwiłła). Okres potapowski mógłby przedstawić pouczające przykłady wyjątków takich. Nie ulega wątpliwości, że osoba, korzystająca z wyjątku, chyba go nie nadużyje; ale iluż to się natłoczy ludzi szkodliwych pod jej skrzydłami — trudnoby obrachować. Oto, dlaczego zdawałoby się rzeczą pożyteczną, ażeby prawo zapobiegło nawet możliwości podobnych wyjątków."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Reforma. Do 13-go lipca 1869 r. zarząd dobrami i lasami rządowymi pozostawał przy izbach skarbowych, w których był oddzielny wydział „dóbr i lasów" pod kierownictwem asesora. W 1881 r. część leśną od izb skarbowych odłączono, utworzywszy dla niej trzy okręgi: I-y Radomski, dla gub. Radomskiej, Kieleckiej, Lubelskiej i Siedleckiej: II-gi Piotrkowski, dla gub. Piotrkowskiej, Warszawskiej, Kaliskiej i Płockiej i III-ci Suwalski, dla gub. Suwalskiej i Łomżyńskiej. Przy izbach skarbowych zaś pozostała tylko tak zwana część ekonomiczna, a dla zarządu nią utworzono wydziały „czasowe" z asesorem na czele. Obecnie owe czasowe wydziały przy izbach skarbowych zostały z dniem 1 (13) stycznia r. b. zniesione, i wszystkie czynności ich z wyłączeniem tych, które dotyczą: kapitałów, stałych rocznych opłat i propinacyi, pozostawionych w II-m wydziale izb skarbowych, będą przeniesione do wspomnionych trzech okręgów. Skutkiem tego skład osobisty tych okręgów będzie powiększony i etaty urzędników podwyższone, przyczem nazwa okręgów została zmieniona na zarząd dóbr skarbowych. (Patrz art. *Now. Wremieni* pod „Prasą rosyjską").

Mianowania Senator Plewe (przed kilku laty towarzysz prokuratora w Warszawie) mianowany został towarzyszem ministra spraw wewnętrznych.

Matejko maluje św. Metodego na chorągiew dla pielgrzymki do Velehradu.

Swietocz, niedawno założone pismo rosyjskie, zostało zamknięte.

Drugą wyprawę do Afryki, ale już nie polską, lecz francuską organizuje towarzysz p. Rogozińskiego, inżenier Hirschenfeld.

Skuteczna reklama. W jednem z pism poznańskich zamieszczono następujące ogłoszenie:

„Do kościoła w Wielkiej Woli wdarli się złodzieje w celu ograbienia świątyni; ujrzawszy jednak cudowny obraz Matki Boskiej, zdjęci poważaniem, odstąpili od zamiaru a nawet rzucili do puszki po złotej monecie. Obraz, przedstawiający ten wypadek, wykonał artysta pokojowy XX., a dzieło ma jeszcze tę zaletę, że można go użyć jako św. Katarzynę *w razie potrzeby.*"

Wierzymy—i gdyby nam było potrzeba...

Muzeum Kraszewskiego, utworzone z darów jubileuszowych, zostało w tych dniach otwarte w gmachu poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk.

Mierzwiński śpiewał dwukrotnie w Poznaniu. Zapał publiczności doszedł do nadzwyczajnej miary zwłaszcza przy pieśniach polskich.

Jerzy Brandes będzie miał w Wiedniu w dniu 29 b. m. odczyt p. t. „Nordisches Geistesleben in diesem Jahrhundert."

Kolej iwangrodzko-dąbrowska została uroczyście otwartą przez delegatów rządu. Pociągi osobowe już zaczęły kursować. Tylko odnoga z Opoczna do Tomaszowa jest jeszcze zamknięta do lipca.

W Odesie wyszła książka polska p. t. *Śpiew historyczny o Piotrkowie trybunalskim* p. Józefa Czerwińskiego, poświęcona pamięci J. Chełmickiego, który był nauczycielem autora i którego imieniem ma być ochrzczone stypendyum przy gimnazyum piotrkowskiem, zebrane ze sprzedaży książki.

Wydawnictw peryodycznych, według urzędowej listy, wychodzi w Warszawie obecnie ogółem 71. Z tej liczby w języku polskim czasopism 61, rosyjskim 5, niemieckim 1 i hebrajskim 1. Dzienników 12 (dwa urzędowe), tygodników 46, dwutygodniki 3, miesięczniki 3, resztę zaś stanowią wydawnictwa bez ściśle oznaczonego terminu. W ogólną liczbę wchodzą również 4 czasopisma (2 dzienniki i 2 tygodniki), których wydawnictwa jakkolwiek zawieszone, posiadają prawną koncesyę.

Pisma zmarłej przed rokiem nowelistki Stefanii Chłędowskiej, która głównie umieszczała swe prace w *Gazecie lwowskiej,* mają wyjść we Lwowie w wydaniu zbiorowem, trzytomowem, z przedmową Władysława Łozińskiego.

Bibliografia polska. H. R. Ch. *Podarek noworoczny dla wszechbraci słowian* (wiersz) Petersburg.

— J. N. Niemcewicza *Dzieła*, tom III, Kraków, Bartoszewicz.

— H. Obertyńska *Co lepiej?* powieść, Warszawa.

— *Sprawozdania* z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych, rok II 1883., Warszawa,

— M. Wolowski *Trefniś i lutnista*, fragment dramatyczny, Warszawa.

Jedność. Pod takim tytułem wychodzi w New-Yorku czasopismo litewskie, wydawane z przekładem polskim przez Twarowskiego, właściciela drukarni. Celem tego organu jest—według *Kur. war.*—podniesienie oświaty i solidarności ziomków, bawiących zagranicą, oraz łagodzenie waśni politycznych, które, przy obiorze nowego prezydenta jawnie wystąpiły.

Muzyka. Na estradzie Resursy obywatelskiej debiutowała w koncercie p. F. Grützhändlerówna, uczennica Troszla, śpiewaczka z głosem czystym i dość rozległym. Jest to wszakże jeszcze materyał, który p. G. ma wyrobić za granicą.

Akademia umiejętności w Krakowie. W dniu 17 stycznia odbyło się posiedzenie wydziału filologicznego. Przyjęto rozprawę p. Bruchnalskiego p. t. „Legenda aurea w literaturze polskiej XV wieku."

Dnia 18 stycznia odbyło się posiedzenie Komisyi językowej, na którem powzięto ostatecznie uchwały w sprawie pisowni polskiej. Wnioski swe przekazała komisya do rozpatrzenia komitetowi, wyznaczonemu w tym celu przez Akademię na walnem posiedzeniu w dniu 15 listopada 1884.

Zmarły biskup tarnowski, Pukalski, zapisał wedle *Czasu* 7000 złr. na założenie seminaryum dla chłopców w Tarnowie, 1000 złr. bursie w Wadowicach, 1000 złr. funduszowi podupadłych mieszczan tarnowskich, 500 złr. ubogim tarnowskim, 1000 złr. na stypendyum dla uczniów gimnazyum tarnowskiego, 5000 złr. dla swego następcy na umeblowanie pałacu, 300 złr. dla egzekutora testamentu, 1000 krewnemu w Żywcu. Połowę reszty majątku, wynoszącego około 80,000 złr. przekazał na własność starszemu bratu w Cieszynie, drugą połowę na dożywocie siostrzeńcowi w Tarnowie, po którego śmierci suma ta obróconą będzie na stypendya dla uczniów gimnazyum w Tarnowie,

Złośliwość. Jaka jest różnica—zapytano kogoś dowcipnego—między X. (niedawno zmarłym a ograniczonym dyplomatą austryackim) a Cyncynatem? Taka—odrzekł—że Cyncynat, cofnąwszy się do życia prywatnego chodził *za* pługiem, a X. mógł chodzić tylko *przed* pługiem.

Zmarli. Georgina Fullerton, najstarsza siostra lorda Granville'a, autorka wielu nowel i powieści.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Inc. Jakkolwiek — według pana — „zachodzi wielkie pytanie, czy osoba, przez redakcyę pomienionego pisma postawiona na czele wydziału rozdawnictwa grosza publicznego odpowiada warunkom" bezwzględnej ufności, to jednakże skoro ofiarodawcy redakcyi tej wierzą, na jakiej podstawie Pan lub my możemy podnosić wątpliwość? Zgadzając się w zasadzie na kontrolę szafunku funduszów składkowych prasy, w obecnym stanie tej sprawy widzimy tylko: albo ufać jakiejś redakcyi zupełnie, albo jej składek nie powierzać.

Henr. Lit. I owszem — zamieścilibyśmy — ale pragniemy znać nazwisko autora.

F. A. R. Tylko *Logika* Balna (rs. 5). Innych książek żądanych przez Pana po polsku nie ma.

St. Br. w Rosienach. Ze złych najlepszy Dobrowskiego.

Mar. Bog. w Aleksandrowie. *O powstawaniu praw moralnych* rs. 1 k. 50, *O epikureizmie* k. 20, *Dramata* rs. 1, *Niewinni* (dramat) k. 75, O. *Makary* (dramat) k. 60, *O życie* (trzy powiastki) k. 50, *Klemens Boruta* k. 40. Inne wyczerpane.

A. K. w Kijowie. Lepiej byś pan był zrobił, dawszy biednemu 7 kopiejek, za które niedorzeczny i zuchwały nawet w ortografii list pański do nas przywędrował.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dla abonentów na prowincyi „Wyciąg z cennika Składu i hodowli nasion **Ogrodnik polski.**

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Января 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.